

M A R C I N P E Ł K A

Pocięte bajki
Ostatnie Zlecenie

BAJKI
TYLKO DLA
DOROSŁYCH



NOVAE RES

M A R C I N P E Ł K A

Pogięte bajki
Ostatnio zlecono,



NOVAE RES

Mikstura

Prace wychodzące spod pędzla smerfa Malarza rzadko należały do udanych. Autor oczywiście bardzo się starał, ale prawda była taka, że talentu raczej nie miał. Co jakiś czas udawało mu się stworzyć coś, co od biedy uchodziło w tłoku. Tym razem jednak artysta przeszedł samego siebie. Papa Smerf uczciwie musiał przyznać, że patrzy na naprawdę dobry obraz. Pięknie uchwycona perspektywa, dbałość o proporcje, duża szczegółowość oraz właściwy dobór barw – wszystko w tej pracy zachwycało. Najstarszy mieszkaniec wioski widział już w życiu wiele malunków i potrafił odróżnić sztukę od kiczu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ma przed oczyma kawałek tej pierwszej. Im dłużej patrzył na dzieło, tym bardziej mu się podobało.

Malarz uchwycił kadr z życia smerfów, które naprawiały most na pobliskiej rzece. Wody wezbrane po niedawnych ulewach przez kilka dni mocno napierały na podpory i przez to nadwyrężyły niemłodą już konstrukcję. Wielka woda minęła, most ostatecznie wytrzymał, ale wymagał gruntownego remontu. I to dość pilnego, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że przy następnych intensywnych opadach spłynie razem z wezbraną wodą w dół rzeki.

Do akcji wkroczył Pracus z ekipą pomagających mu smerfów. Cięli deski, podpierali dźwigary, łączyli kotwami rozchwiane elementy konstrukcji. Nawet Maruda pracował wytrwale, choć oczywiście marudził. Papa Smerf codziennie chodził nad rzekę podziwiać tempo i efekty pracy. Nie wtrącał się, bo wiedział, że most jest w dobrych rękach – w całej wiosce nie było lepszego inżyniera od Pracusia. Fakt, że Papa Smerf przyglądał się pracującym, nie umknął Malarzowi. Artysta nie namyślał się długo i pomachał pędzlami, utrwalając specyficzną chwilę. Powstałe dzieło zostało sprezentowane najstarszemu mieszkańcowi wioski.

O poprzednich tego typu prezentach Papa Smerf wolałby zapomnieć. Ten jednak był wyjątkowo udany. Smerf nie namyślał się ani trochę – decyzja o miejscu zawieszenia obrazu w chacie okazała się jedną z najłatwiejszych w całym jego dotychczasowym życiu. Postanowił, że widok podopiecznych trudzących się przy naprawie przeprawy najlepiej będzie się prezentował na ścianie naprzeciw łóżka. Papa Smerf mógłby witać rano spojrzałem na ten malunek i kończyć dzień w ten sam sposób. Ukontentowany pomysłem stwierdził, że tak właśnie ma być, i koniec!

W normalnych okolicznościach o pomoc w zawieszeniu obrazu poprosiłby Pracusia. Mający inżynierski talent smerf był jednak nieobecny. Naprawa mostu miała większy priorytet od ozdabiania wnętrza chaty. Papa Smerf postanowił więc, że zajmie się wszystkim samodzielnie. Uznał, że w końcu wbicie gwoździa w ścianę to nic ekstremalnie skomplikowanego i do osiągnięcia sukcesu w tej kwestii nie trzeba być inżynierem.

Na pierwszy problem – tak prozaiczny, że aż śmieszny – natknął się chwilę później. Nie mógł znaleźć młotka. Nie wiedział, kiedy ostatni raz go używał, tym samym nie potrafił przypomnieć sobie miejsca, gdzie go odłożył.

Dziwne! – zadumał się Papa Smerf. Nigdy nie miałem kłopotów z pamięcią.

Zaniepokojony obserwacją zastanowił się, czy czasem nie dopada go skleroza. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej rósł jego niepokój. Nie pamiętał, co wczoraj jadł na obiad. Nie potrafił stwierdzić, kiedy ostatni raz prał swoją czapkę. Była czysta, więc pewnie robił to niedawno, ale konkretnie kiedy? Cóż... pytanie bez odpowiedzi. Czy podlewał kwiatki na parapecie okna? Nie pamiętał. Im więcej zadawał sobie podobnych pytań, tym bardziej upewniał się w nieprzyjemnej diagnozie. Ewidentnie pamięć zaczęła mu szwankować – bez cienia wątpliwości stał się sklerotykiem.

– Och, nie! – jęknął. – Tylko nie to!

Na szczęście niecała pamięć przestała działać. Gdzieś z tyłu głowy najpierw nieśmiało zajaśniała, a potem wyraźnie skryształizowała się myśl, że przecież na sklerozę jest lekarstwo. Mógł przyrządzić magiczną miksturę, która odwróciłaby niekorzystne zmiany w jego głowie. Potrafił sam siebie wyleczyć! Zalała go fala ulgi. Rozwiązanie poważnego problemu okazało się dziecinnie proste.

– Do dzieła! – Papa Smerf dodał sobie animuszu radosnym okrzykiem i ruszył wcielać w życie ideę samoleczenia.

O ile *Księgę magicznych zaklęć i przepisów* odnalazł bez trudu, o tyle okulary gdzieś przepadły. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ich używał, nie miał bladego pojęcia, gdzie je odłożył. Przeszukał większość oczywistych miejsc i nic – jakby się pod ziemię zapadły. Przez moment zastanawiał się, czy to nie jest czasem jakiś kolejny nieprzemyślany psikus ze strony Zgrywusa.

– Nie! – uznał po chwili namysłu. – Przecież Zgrywus jest w ekipie naprawiającej most. To nie jego sprawa. Cóż... choć nie potrzebuję, mam kolejny dowód doskwierającej mi sklerozy. A tam! – Machnął zniecierpliwiony ręką. – Poradzę sobie bez okularów!

Zdecydowanym krokiem ruszył do swego magicznego laboratorium i przystąpił do warzenia leku na sklerozę. Brak okularów znacząco utrudniał mu pracę. Najpierw miał problemy z wyszukaniem odpowiednich składników do mikstury, potem – z odmierzeniem właściwych ilości. Cóż jednak innego mu pozostało? Musiał uwarzyć lek i to w miarę szybko, bo jeśli skleroza miała dynamiczny przebieg, to za chwilę mógł nie pamiętać, co aktualnie robił i w jakim celu.

Jeden ze słoików, które zdjął z półki, zawierał białe proszek. Wioskowy alchemik próbował odczytać napis na etykiecie. Odszyfrował tylko pierwsze litery dwóch słów – S i A. Był przekonany, że do tworzonej mikstury dodaje sproszkowane algi. Napis na słoiku brzmiał natomiast Steroidy Anaboliczne. Bez pomyłki nie obyło się także w kwestii ilości owego składnika. W *Księdze magicznych zaklęć i przepisów* stało: „Dodaj pięć łyżeczek sproszkowanych alg”. Papa Smerf zinterpretował dawkę jako pięć łyżek. Tym samym warzone lekarstwo ostatecznie mocno różniło się od właściwej receptury zarówno składem, jak i właściwościami.

Kiedy mętna ciecz ostygła w małym tygielku, Papa Smerf z westchnieniem ulgi przelał ją do kubka. Z błąkającym się na twarzy uśmiechem zadowolenia wyszedł przed chatę, usiadł na stojącej pod oknem ławeczce i powąchał zawartość naczynia. Miała osobliwą woń, ale nie przejął się tym zbytnio. Od zawsze hołdował zasadzie, że lekarstwo musi być skuteczne, a smak czy zapach to w tej kwestii sprawa drugorzędna.

– Żegnaj, sklerozo! – wzniosł specyficzny toast i wypił duszkiem miksturę. Z niecierpliwością czekał na to, aż odzyska utraconą pamięć i będzie wiedział: gdzie leżą okulary, gdzie jest młotek, kiedy robił ostatnie pranie czapki i co wczoraj jadł na obiad.

Zaczęło się niewinnie od bulgotu w brzuchu. Pojawił się i ucichł niczym dźwiękowy zwiastun nadciągających kłopotów. Papa Smerf poczuł, jak zaczyna go swędzieć każda część ciała. Świąd również był chwilowy, zastąpiło go uczucie wzmoczonego napięcia niebieskiej skóry. Mięśnie zaczęły intensywnie rosnać. Z cichymi pyknięciami wybrzuszyły się potężne bicepsy, mięśnie czworogłowe ud powiększyły się z trzaskiem niewytrzymującego naprężenia materiału spodni. Barki rozrosły się tak, że nawet smerf Siłacz w swojej szczytowej formie miałby na ich widok kompleksy. Papa Smerf urósł przynajmniej trzykrotnie. Stał się wielką górą mięśni, napędzaną anabolikami. Ich wysokie stężenie w organizmie wpłynęło także na psychikę najstarszego i obecnie największego smerfa w wiosce.

– Kurwa! – skomentował niepożądanе efekty samoleczenia. – Zajebicie!

Z zadowoleniem macał się po bicepsie napompowanym do absurdalnych rozmiarów. Aby sprawdzić swą siłę, podniósł ławkę, na której przed momentem siedział, i bez większego wysiłku podrzucił ją w górę. Złapał ją równie pewnie. Jeszcze parę chwil wcześniej przy tego rodzaju działaniach prędzej dostałby przepukliny, niż doczekałby się satysfakcjonujących rezultatów. A teraz? Miał taką parę w łapach, że mógłby spuścić łomot każdemu.

Okazja do sprawdzenia się w tej roli nadarzyła się niespodziewanie szybko. Z dzikim miauczeniem i prychaniem do wioski wpadł Klakier. Rudy kocur nigdy się nie poddawał i nieustannie szukał drogi wiodącej do siedliska znienawidzonych smerfów. Tym razem udało mu się uniknąć wszystkich zmyślnie zastawionych pułapek, nie dał się zwieść mylnym tropom i wreszcie znalazł się w upragnionym miejscu. Wpadł między chaty z żądzą mordy w złośliwych oczach. Nikogo jednak nie zamordował. Nie zdążył kogokolwiek choć trochę poturbować ani nawet ugryźć. Drogę do centrum wioski zastąpił mu gigantyczny smerf.

– No chodź, jebany sierściuchu! – wykrzyczał wielkolud i w kilku susach skrócił dystans.

Zaskoczony takim obrotem spraw Klakier zarobił prawy sierpowy w ucho. Zobaczył rój migotliwych gwiazdek kręcących się wokół niego. Zanim zdążył ochłonąć, poczuł solidne kopnięcie w brzuch. Stracił oddech, rozjechały mu się łapy. Klapnął więc brzuchem na ziemię, a wtedy olbrzymi i wściekły smerf dosiadł go okrakiem. Znow w ruch poszły pięści, wielkie jak kowalskie młoty. Niestety dla kocura były równie olbrzymie, jak twarde. Po raptem czwartym uderzeniu Klakier stracił przytomność.

Zawiedziony tak haniebnym brakiem oporu Papa Smerf zeskoczył z intruza i z łatwością przewrócił nieprzytomnego zwierzaka na plecy.

– Ty! – ryknął na przyglądającego się w kompletnym osłupieniu Ciamajdę. – Szoruj do chaty i przynieś mi nóż!

Adresat komunikatu nie zareagował – z szeroko otwartymi oczami nadal tkwił w stuporze i próbował dojść do ładu z tym, czego właśnie był świadkiem.

– Kurwa! – wrzasnął napędzany anabolikami Papa Smerf. – Zapierdalaj po kosę albo tobie też spuszczę łomot!

Ciamajda, biegnąc do swej chaty, pobił wszystkie rekordy świata.

– Ty! – Papa Smerf dostrzegł nie mniej oniemiałą Smerfetkę. – Igła i nitka, laluniu! Ruchy! Ruchy!

Po chwili jego żądania zostały spełnione. W ruch poszedł najpierw nóż. Cięcie było proste i gładkie, usunięcie tkanek – równie precyzyjne, a zeszycie rany – wręcz mistrzowskie. Pod koniec tych działań Klakier zaczął odzyskiwać przytomność. Aby znacząco przyspieszyć proces wybudzania, Papa Smerf

nadepnął mu na ogon. Dzikie wrzaski bólu oddalającego się kocura długo jeszcze rozbrzmiewały wokół wioski.

Ucieczka rudowłosego wroga zbiegła się w czasie z ustąpieniem działania mikstury. Najstarszy mieszkaniec wioski zmalał, jego potężne mięśnie zaczęły się kurczyć, aż wreszcie wróciły do swej zwyczajowej postaci. Spokojne spojrzenie oczu dowodziło, że Papa Smerf odzyskał swoją łagodną naturę, agresywny i wulgarny macho znikł jak kropla wody parująca na rozgrzanym piecu.

W tym właśnie momencie, po skończeniu pracy, do wioski wróciła ekipa remontująca most. Idący na czele Pracus stanął jak wryty na widok strzępów spodni Papy Smerfa i zakrwawionego noża w jego ręku. Chorobliwa bladość Smerfetki i mimowolnie drgająca broda Ciamajdy nie wróżyły niczego dobrego.

– Co tu się stało? – zapytał pełen złych przeczuć.

– Nic takiego, moi kochani – odparł uspokajająco Papa Smerf. – Trochę się nam bez was nudziło. I tak jakoś wyszło, że wykastrowaliśmy Klakiera.

Putapka

W pewnej wiosce na Podhalu koza urodziła dwa kozłeta. Jedno z nich, krótko po przyjściu na świat, zaczęło gramolić się na chwiejne nogi. Uczyniło to tak nieporadnie, że przy próbie złapania równowagi kopnęło drugie w głowę. Skutek kopnięcia był tragiczny – w wyniku wgniecenia czaszki kozłę zdechło.

Skonfundowany gospodarz z niedowierzaniem pokręcił głową. Ciężko westchnął i do sprawy zamieszania rzucił z przekąsem:

– Trzeba być niezłym matolem, żeby w taki sposób zabić brata. Od tej pory tak właśnie będę cię nazywał: Matołek.

Czas pokazał, że koziołek w pełni zasłużył na swoje imię. Był chodzącą oferumą, a szkody, które powodował, nie raz i nie dwa przyprawiwały gospodarza o palpitacje serca. Jak tu się jednak nie wkurzyć, gdy koziołek bodzie bujane przez wiatr świeże pranie, w efekcie czego owe pranie ląduje na ziemi, i brudzi się tak, że nie było nadziei na skuteczne doczyszczenie. Albo gdy małym, ale już twardym, rogiem tłucze kamionkowe garnki wiszące na sztachetach płotu. Kiedyś w pogoni za motylem koziołek przeskoczył niską siatkę i w wyniku jego harców z warzywnej części ogródka niewiele dało się uratować.

– Żebyś choć jeszcze zjadł tę kapustę i marchewkę! – zżymał się gospodarz. – Ale nie! Musiałeś wszystko stratować, Matołku.

Koziołek zabczał smętnie w ramach przeprosin. Chwilę potem zapomniał, o co był ten cały raban, bo na podwórze wjechała furmanka z sąsiedniego gospodarstwa. Dосkoczył do ciągnącego ją konia i zaczął wokół niego radośnie skakać i beczeć. Stary koń ignorował zaczepki ze stoickim spokojem, jednak tylko do pewnego momentu. Matołek, zły za ignorowanie go przez nowo przybyłego, wziął krótki rozbieg i ubódł konia w bok. Stara szkapa nie spodziewała się tego. Zaskoczenie i ból sprawiły, że szarpnęła się i chcąc uciec od nieokrzesanego koziołka, zatoczyła wozem szeroki łuk po podwórku. Mimo prób zatrzymania wpadła w bramę, którą dopiero co wjechała. Koń się zmieszczył, wóz nie.

Po rąbnięciu z impetem w kamienny słup pękła oś pojazdu, w górę pofrunęły połamane deski, po ziemi poturłały się wiezione dotąd z tyłu ziemniaki. Koń wierzgnął i zrzucił chomąto. Kiedy poczuł, że nic go już nie ogranicza, pognął w pola przed siebie. Sprawca zamieszania, jak gdyby nigdy nic, podszedł do jednego z rozrzuconych w nieładzie ziemniaków. Powąchał go ostrożnie i po chwili zastanowienia ugryzł. Warzywo nie posmakowało mu, więc żałośnie becząc w wyrazie rozczarowania, koziołek odwrócił się i odszedł.

– Co za matole! – warknął gospodarz z sąsiedniego gospodarstwa.

– Ano matole, matole! – zgodził się właściciel koziołka.

Innym znów razem Matołek odganiał szczególnie natarczywego gza. Nie bardzo wiedział, jak poradzić sobie z upartym owadem, skakał, wierzgał i biegał wokół, aby zgubić natręta. W pewnym

momencie podczas jednego ze skoków skręcił tułów, zamierzając capnąć gza zębami. Kilukrotnie bezskutecznie kłapnął paszczą nieświadom tego, że gwałtownym ruchem ciała pozbawił się kontroli nad wykonywanym właśnie skokiem. Ten zaś zakończył się na prowadzących do kurnika drzwiach, które z głośnym trzaskiem wpadły do środka wraz z koziołkiem. Wystraszone kury z głośnym gdakaniem rozbiegły się po podwórku. Ich łapanie i zaganianie z powrotem na miejsce doprowadziło gospodarza do szewskiej pasji.

– Ty matole! – krzyczał zasapany, spocony i czerwony na twarzy. – Przerobię cię na salami!

Pewnego jesiennego dnia, krótko po południu, do gospodarstwa przyjechało sporo ludzi. Właściciel miał urodziny i nadarzała się dobra okazja do spotkania z rodziną i znajomymi. Ku rozżaleniu koziołka wśród gości nie było dzieci. Lubił dzieci, bo te zawsze chętnie go głaskały i brykały po podwórku razem z nim. Dorośli nie chcieli się z nim bawić. Ignorowali jego żałosne beczenie, odrzucali na bok podsuniętą do pieszczoł głowę. Smutny koziołek patrzył, jak wszyscy wchodzą do domu i zamykają mu przed nosem drzwi. Podszedł do ławki ustawionej pod oknem, wsparł się przednimi kopytkami na niej i zajrzał do środka. Biesiada właśnie się rozpoczynała, wzniesiono toast, brzdęknęły kieliszki.

– Eeeeh! – zabeczał Matolek i smętnie zwiesił głowę.

Już miał zejść z ławki, by zacząć obmyślać zasady nowej zabawy, gdy wtem coś usłyszał. Wypowiedziane przez jednego z gości słowa zelektryzowały go w jednej chwili. Poczul, jak zaczyna mu łomotać serce i jeży się sierść wzdłuż grzbietu. Dowiedział się bowiem, że w Pacanowie kozy kuja.

Wizja posiadania własnych podkówek wydała mu się wręcz niezmiernie atrakcyjna. Stał oparty o ławkę, drżąc z emocji, i wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby miał metalowe ozdoby na kopytkach. Mógłby stukać nimi na kocich łbach na podjeździe. Mógłby głośno załomotać w drzwi obórki i wystraszyć świnię. Zwierzaki były nawet miłe, ale nie lubił ich, bo śmierdziały. Mógłby unurzany w błocie podkutym kopytkiem zrobić kilka śladów na pobielonych wapnem ścianach domu gospodarza. Bez podków oczywiście też potrafiły to zrobić, ale efekt nie byłby aż tak spektakularny.

Ach, tak wiele, gdyby miał podkowy! Dbały o nie, regularnie czyścił z zabrudzeń, polerowały aż do połysku. Koziołek chętnie przyjąłby zakład, że lśniłyby lepiej niż jajca Burka, gdy ten kończył się wylizywać. Wizja metalowych ozdób na kopytach, które ślą dookoła refleksy w porannym słońcu, była tak piękna, że Matołkowi aż lzy zakręciły się w oczach.

W tym właśnie momencie w głowie koziołka zrodziło się śmiałe pytanie: a co niby stoi na przeszkodzie, żebym się podkuł? Odpowiedź wydawała się prosta: nic, absolutnie nic! Pozostało więc tylko jedno – musiał trafić do Pacanowa. Nie wiedział jednak, gdzie ów Pacanów się znajduje. Zmartwiło go to nieco, bo żeby go znaleźć, trochę pewnie będzie musiał się pobłąkać. Pomyślał jednak, że świat przecież nie mógł być aż tak wielki, żeby w końcu do tego miasteczka nie dotrzeć. Uznał, że nie warto czekać z realizacją marzenia. Skorzystał z nieuwagi zajętego biesiadowaniem gospodarza i podbiegł do bramy. Pociągnął zębami za skobel i po chwili wrota stanęły przed nim otworem. Matolek wybiegł na drogę i pognał przed siebie, ile sił w nogach.

Droga, którą biegł, była wygodna, ale w głowie koziołka zakiełkował pomysł, aby ją opuścić. Po pierwsze bał się, że gospodarz w końcu zauważy jego ucieczkę i ruszy na poszukiwania zbiega. Po

drugie usłyszał kiedyś, jak ludzie mówili, że czasami warto iść na skrót. Uznał, że to właściwy moment, aby właśnie z niego skorzystać. Przeskoczył więc rów i pognął w łąki.

Jakiś czas później zmęczył się i zwolnił kroku. W oddali zamajaczył las. Matołek jeszcze nigdy nie miał okazji w nim być, więc z tym większą więc ciekawością ruszył w jego stronę. Drzewa okazały się wyższe od tych, które znał z sadu gospodarza. Szumiały też inaczej i zdecydowanie głośniej. To trochę zdeprymowało koziołka, ale gdy zrobił kilka kolejnych kroków, poczuł ich woń – pachniały zaś bardzo przyjemnie. Matołek doszedł do wniosku, że jeżeli coś wydziela miły dla nosa aromat, to nie może być groźne czy niebezpieczne. Bez wahania wkroczył więc pomiędzy pierwsze pnie.

Wśród drzew było ciemniej niż na łące, ale to nawet dobrze się składało – nie musiał już bez przerwy mrużyć oczu przed popołudniowym, ale wciąż jeszcze mocnym, słońcem. Zmniejszył się też szmer gałęzi kołyszanych wiatrem – jeszcze lepiej! Bez troski koziołek zagłębił się w las. Szedł między wielkimi pniami niespiesznie i pewnie, choć nie do końca był przekonany, czy w dobrym kierunku. Nie przejmował się tym zbytnio – w końcu jak się błąkać, to się błąkać.

W pewnym momencie, wachając szczególnie wonną kępę paproci, nie zauważył cienkiego drutu w kształcie pętli, który wisiał przed nim. Przełożył głowę przez nią i nieświadomy zagrożenia zwolnił pułapkę. Matołek nie zdążył nawet kwiknąć ze strachu, gdy tajemnicza siła zacisnęła się na jego szyi, pozbawiając tchu. Potem nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, a koziołek został poderwany i chwilę później zadyndał ze złamanym karkiem na przygiętej ciężarem jego ciała młodej brzoźce.

Przy ognisku siedziały dwie osoby: barczysty, brodaty mężczyzna i dziecko, kilkuletni chłopiec z pyzatą buzią. Nad płonącym ogniskiem obracał się prowizoryczny rożen. Z przypiekanego mięsa co jakiś czas spadały krople tłuszczu i z głośnym skwierczeniem na krótką chwilę podsycaly ogień.

– Taki właśnie jest bór – wyrwał się z zadumy Rumcajs, a Cypisek poważnie pokiwał głową. – Niby go znasz, niby wiesz, na co można liczyć podczas polowania, a tu... – zawiesił na chwilę głos i wskazał ręką rożen – taka niespodzianka. Sarenka, jelonek, owszem. Że tak powiem, chleb powszedni kłusownika. Tym bym się nie zdziwił. Bór jest jednak nieprzewidywalny.

Cypisek ponownie pokiwał głową i na chwilę nastała cisza.

– Cóż... – Rumcajs wruszył potężnymi ramionami. – Wybrzydzać przecież nie będziemy. Złapał się w pułapkę koziołek, to zjemy koziołka.

Demitologizacja

Jacek Malicki z ciężkim westchnieniem podbił kartę biblioteczną. Elektroniczny czytnik potwierdził jego dostęp do księgozbioru. Na podłodze zapłonął żółty pasek, który został mu przydzielony jako przewodnik. Jacek ruszył za nim jak na stracenie. Wędrował między regałami, to w prawo, to w lewo, by po pięciu minutach dotrzeć na miejsce. Żółć zgasła przed masywnymi drzwiami. Tym razem zwykła chipowa karta biblieczna nie wystarczyła, by wejść do środka. Wzmacniane stalowymi płytami skrzydła uchyliły się z cichym sykiem dopiero po zeskanowaniu siatkówki jego oka. Ledwo Malicki wkroczył do tajnego archiwum, drzwi zamknęły się ponownie tak szybko, że poczuł na plecach podmuch powietrza.

Co za szopka! – pomyślał zdęgotowany. I po co to wszystko?

Na podłodze znów pojawił się żółty pasek. Mężczyzna podążył za nim z miną skazańca zmierzającego na szafot. Tym razem nie musiał iść daleko. Dotarł do stanowiska przydzielonego mu przez główny komputer biblioteki i usiadł w fotelu. Pod naciskiem jego ciała uruchomiły się elektryczne silniki. Z podłogi wzniosł się zasobnik danych z klawiaturą, z sufitu spłynął panoramiczny ekran, na którym po chwili pojawiło się żądanie podania loginu i hasła. Jacek dopełnił formalności, dzięki czemu uzyskał wreszcie dostęp do ściśle tajnej części zbiorów. Wpisał do wyszukiwarki kilka słów kluczowych, uruchomił ją i czekał na wynik. Myśli w tym czasie miał niewesołe. Głównie jednak był zły na siebie samego.

Zachciało mi się doktoratu! – stwierdził w duchu z przekąsem. Ależ jestem naiwniakiem!

Złożona przez promotora propozycja rozwoju naukowego wydawała mu się atrakcyjna. Przysłał na nią z ochotą i nie stracił entuzjazmu nawet po tym, jak poznał dokładny temat rozprawy. Z góry zakładał, że spędzi trochę czasu na grzebaniu w literaturze. To oczywiste – bez wysiedzianych dupogodzin doktorat sam się nie napisze. Owo „trochę” zaczęło się jednak przeciągać, potem przeszło w fazę „nieco dłużej, niż sądziłem”, a obecnie Malicki miał ochotę określić to wszystko jako „końca, kurwa, nie widać”. Im bardziej zagłębiał się w temat, tym więcej było literatury dodatkowej i wątków pobocznych. Sprawdzić musiał zaś wszystko, żeby podczas obrony pracy nikt nie zagiął go jakimś podchwytliwym pytaniem. Wsiąkł więc w bibliotekę jak pot w ręcznik i stał się jej stałym bywalcem. Czytał, wynotowywał istotne informacje, robił do nich dygresje, potem dygresje do dygresji – jednym słowem grzązł. Niespecjalnie mógł liczyć na pomoc promotora. Spytał go o radę tylko raz, a ten spojrzął na niego i rzucił jedynie:

– To chcesz być doktorem nauk czy nie chcesz?

Jacek oczywiście chciał, ale w miarę upływu czasu coraz mniej. Wielokrotnie zżymał się na temat dysertacji – *Demitologizacja romantycznego rozbójnika z Podhala*. Najpierw spodobała mu się idea zrzucenia z piedestału Janosika. Potem jednak zaczął wątpić. Co mu przyjdzie z takiego ruchu? Dlaczego miałby chcieć zdyskredytować jeden z symboli narodowych? W imię prawdy – odpowiadał

sam sobie. Komu ta prawda jest potrzebna? – pytał sam siebie chwilę później. No właśnie, komu? Co innego dekomunizacja. To były działania jak najbardziej słuszne i pożądane w imię historycznej sprawiedliwości. Czemu miało służyć zmieszanie z błotem słynnego górala?

Początkowo wątpił, czy uda mu się to w ogóle zrobić. Potem jednak śmiała teza, że Janosik to mit, a prawda ma się nijak do obrazu wykreowanego w ludowych podaniach czy w mediach zyskiwała na prawdopodobieństwie. Malicki czytał coraz więcej, a przyswajane treści coraz mniej mu się podobały. Przełomowy był zaś moment, kiedy okazało się, że jedna z pozycji owszem znajduje się w bibliotece, ale nie miał do niej dostępu. Sprawa oparła się o promotora i dopiero po jego interwencji Jacek mógł poznać treści zgromadzone w tajnym archiwum. To, czego się dowiedział, wgniotło go w fotel.

Piknęło powiadomienie, co oznaczało, że wyszukiwarka zakończyła pracę. Na ekranie pojawiła się seria dokumentów w postaci charakterystycznych ikon. Jacek przestał użalać się nad własnym losem i powrócił do rzeczywistości. Kliknął dwukrotnie na pierwszą ikonę i zaczął czytać. Co chwila kręcił głową z niedowierzaniem. Treści poznawanych w ostatnim czasie dokumentów okazywały się tak niesamowite, że ruch ten powoli stawał się jego tikiem nerwowym.

Trudno się jednak nie dziwić, gdy wychodzi na jaw, że znany wszem wobec polski bohater w ogóle nie był Polakiem. Urodził się w Szkocji w miejscowości, której idiotycznie długiej nazwy nie dawało się wymówić bez połamania języka. Ani ojciec, ani matka nie mieli polskich korzeni. Rozbójnik, zanim trafił do Polski, mocno angażował się w działania mające na celu uzyskanie przez Szkocję niepodległości. Wiele wskazywało na to, że aby ratować życie musiał uciekać z rodzinnych stron przed zemstą angielskich lordów. W niejasnych jak dotąd okolicznościach w wieku dwudziestu pięciu lat postawił stopę na Podhalu. Na imię miał Ian, więc automatycznie przechrzczono go na polskiego Jana. To Malicki odkrył w zeszłym tygodniu.

Dwa dni temu wyczytał, że buntowniczy charakter Szkota nie pozwolił mu usiedzieć grzecznie na miejscu. Uciekinier z wysp zaczął krzewić idee niepodległościowe na nowym gruncie. Namawiał górali do zbrojnego powstania i zrzucenia jarzma arystokratów. Napadał na dwory oraz pałace i łupił je z cennych dóbr. Nie rozdawał ich jednak biednym – większość spieniężał byle gdzie, a pieniądze przepijał. Ponoć zapałał dożgonną i niezachwianą miłością do góralskiej śliwownicy.

Dziś Malicki dowiedział się, skąd pochodzi dalsza część imienia rzekomego bohatera. Przed oczami miał skan dwóch stron kroniki Jakuba Gąsienicy z Limanowej. Kaligraficznym pismem autor barwnie odmalował pierwsze spotkanie górali ze szkockim buntownikiem. Szczególnie wyraźnie zaakcentowany był problem języka. Miejscowi nie znali angielskiego, Ian nie mówił po polsku. W związku z brakiem płaszczyzny porozumienia krewki Szkot często rzucał wyrażenia o znacznym ciężarze gatunkowym. Jego ulubiony komentarz do wielu nieporozumień brzmiał: *Oh, shit!*. Nie trzeba było długo czekać, aby stało się to jego specyficznym przezwiskiem. W połączeniu ze spolszczonym imieniem Jan *Oh, shit* wkrótce zmienił się w Janosika. Malicki wyobraził sobie, jak przedstawia to odkrycie w trakcie obrony doktoratu.

– Będzie grubo! – westchnął i ze zrezygnowaniem pokręcił głową.

Ostatnie zlecenie

Geralt siedział na neoheblowanej ławie i z ponurą miną patrzył na blat stołu – również neoheblowany. Z postawionego na nim dzbana unosił się kwaśny aromat. Piwo było podłej jakości – mętne, zawiesiste i tylko brak jakiegokolwiek alternatywy sprawiał, że wiedźmin od czasu do czasu przelykał niewielką ilość płynu. Z sąsiednich stolików dochodziło podobne siorbanie oraz pełne niesmaku mlaśnięcia. Geralt czuł, jak w miarę upływu czasu nasila się zgaga w jego żołądku. Załagodziłby to nieprzyjemne doznanie, przekąszając coś, ale się bał. Jeżeli serwowane przez gospodarza potrawy były podobnej jakości jak piwo, to wolał nie ryzykować. Pozostawało więc cierpliwie czekać na umówionego zleceniodawcę i liczyć, że tłący się w żołądku ogień nie zdąży się zmienić w pożar.

W głównej izbie gospody kopciły trzy spore kaganki, ale nie rozświeślały pomieszczenia zbyt mocno. Białowłosemu to odpowiadało. Wolał nie rzucać się w oczy, świadomy tego, że i tak wystarczające wrażenie na wszystkich zrobił swoimi dwoma mieczami. Jeden z bywalców lokalu chciał zabłysnąć znajomością rzeczy i zapytał o wiedźmiński oręż:

– Jeden miecz na ludzi, a drugi na potwory?

Geralt wykrzywił naznaczone blizną oblicze w grymasie niechęci. Jeżeli za każdym razem, gdy go o to pytano, otrzymywałby jakiegokolwiek pieniądze, byłby bogaczem.

– Tak – westchnął z ponurą miną, licząc, że na tym skończy się konwersacja.

Czasami to wystarczało, częściej jednak nie. Nie miał szczęścia.

– A jakie potwory udało ci się ubić tym drugim, panie wiedźminie?

– Najczęściej szlachtuję nim podpitych grubasów, którzy nie wiedzą, kiedy przestać zadawać pytania – warknął, po czym wstał z ławy i skierował się ku najciemniejszemu kątowi gospody.

Długą chwilę to trwało, ale wreszcie do natręta dotarło, że nie warto kontynuować rozmowy.

Białowłosey usiadł w półmroku i oparł miecze o ścianę tak, aby nie rzucały się w oczy, jednak w razie czego były pod ręką. Potem zamówił u gospodarza następne piwo. Wolałby byle jakie wino od podanych szczyn, ale w tej kwestii wyboru niestety nie miał. Czas powoli mijał, poziom kiepskiej jakości trunku równie powoli się obniżał, rósł za to dyskomfort w brzuchu pijącego.

Wreszcie drzwi gospody otworzyły się, w progu stanął barczysty mężczyzna słusznego wzrostu. Nowo przybyły rozejrzał się po izbie i gdy wypatrzył biel włosów w kącie, pospiesznie ruszył w tym kierunku.

– Wybaczcie, panie wiedźminie, moje spóźnienie, ale koń mi okulał na trakcie i nie dało się go nijak popędzić.

Geralt spojrział na niego spode łba. Wymówka była stara jak świat. Słyszał ją prawie tyle razy, co pytanie o miecze.

– Dobrze! – westchnął. – Mów, z czym przychodzisz.

Barczysty mężczyzna wyraźnie stropił się, po czym jednak pokonał własną niechęć i oznajmił:

– Bo widzicie, panie wiedźminie, jest do zabicia taka jedna potwora. Ale to trudne będzie.

Geralt parsknął śmiechem.

– Jeśli sprawa byłaby łatwa, sami byście zaciukali paskudę, a ja nigdy bym tu nie zawitał.

– No, w sumie to racja. – Potencjalny zleceniodawca wiedźmińskiej roboty znów się na moment zawahał. Zanim zdążył podjąć wątek, jego wzrok spoczął na opartym o ścianę orężu. – A z tych dwóch mieczy jeden jest na...

– Zamknij się! – warknął Geralt i duszkiem, choć z niesmakiem dopił resztę podłego piwa z dzbanka.

Nabzdrygolony Jaskier siedział przy ognisku. Brzdąkał nieskładnie na rozstrojonej lutni i równie nieskładnie śpiewał. Miał dobry humor, więc jego repertuar w pełni zasługiwał na miano mocno frywolnego. Była ballada o księżniczce, która na widok klejnotów rodowych pewnego rycerza stwierdziła, że ładne to to może i jest, ale chciała wiedzieć, czy miało także jakieś zastosowanie praktyczne. Zabrzmiała pieśń o pewnym królu, który po ujrzaniu zawartość własnego nocnika uznał, że rozum ludzki nie jest w stanie tego pojąć. I o krasnoludzie Yarpenie, który omyłkowo po pijaku napadł na własną wioskę i jako brankę złapał swoją żonę. Żona owa była zaś równie brodatą jak on sam.

W takich właśnie okolicznościach do ogniska dosiadł się Geralt.

– Och! – Jaskier, zaskoczony widokiem przyjaciela, brzdąknął klującą w uszy fałszywą nutę i przerwał śpiew. – Nie słyszałem, jak nadchodzisz.

– Smoka byś nie usłyszał, a co dopiero mnie.

Bard z niepokojem rozejrzał się na boki.

– Ale tu nie ma smoków, prawda?

– Smoków nie. – Wiedźmin postanowił trochę podrażnić przyjaciela. – Smoczyce natomiast owszem.

Jaskier mimo dużej ilości wypitego wina zorientował się, że to nieprawda.

– A, to w porządku – oznajmił, odzyskując spokój sprzed chwili. – Z paniami to ja się potrafię porozumieć w sprawie konsumpcji.

– Konsumpcji?

– Ona mnie nie zje, a ja ją... hmm...

Geralt parsknął śmiechem.

– Tak, jasne... Smoczycę mu się chędożyć zachciało. Wyjdzie ci to bokiem jak wtedy, gdy ubzdurałeś sobie, że jakiś czarodziej zaklął piękną księżniczkę w żabę. Całowałeś ropuchy jedną po drugiej jak najęty, aż się porzygałeś.

– Oj tam! – Machnął ręką bard. – Młody wtedy byłem i naiwny.

– Czyżby coś się w tej kwestii zmieniło? – zakpił białowłosy.

– Wydoroślałem i zmądrzałem – zaperzył się Jaskier.

Geralt ponownie parsknął śmiechem.

– Człowieku, co ty bredzisz? Rzygałeś po wycałowaniu przynajmniej setki żab raptem trzy dni temu. Przez te trzy dni nie wytrzeźwiałeś nawet na moment. Kiedy niby wydoroślałeś i nabrałeś

mądrości?

– Oj tam! – Machnął znów ręką zapytany, nie znajdując na poczekaniu konkretnych argumentów na poparcie swoich racji.

Przez chwilę przy ognisku było cicho.

– Jak tam poszło w gospodzie? – spytał Jaskier. – Przyjąłeś zlecenie?

– Tak – odparł Geralt i z kwaśną miną pomasaował okolicę żołądka.

– Co jest?

– Nie zamawiaj tam nigdy piwa. Dziś chyba ja będę rzygał.

– Poszukać ci jakiejś ładnej żabki?

Chwilę potem wiedźmin udowodnił, że nie rzuca słów na wiatr.

Rankiem spadł deszcz. Skutecznie dogasił dogorywające ognisko i zmoczył dwóch śpiących przy nim mężczyzn. Obaj wstali z kwaśnymi minami, zziębnięci, obaj czuli duży niesmak w ustach. Geralt opatulił się mocniej skórzanym płaszczem. Niewiele mu to pomogło. Jaskier ponurym wzrokiem patrzył na lutnię, której gryf napęczniał pod wpływem deszczu i się wygiął. Na jego oczach z brzdękiem pękły dwie struny. Bard uznał, że nie ma sensu ratować instrumentu. Nie był wysokiej jakości, więc bez większego żalu postanowił go porzucić.

– Zima idzie – stwierdził Geralt, patrząc najpierw na dywan mokrych, żółtych liści u stóp, potem na łyse konary otaczających niewielką polanę drzew, na sam koniec zaś na ciemnoszare chmury szczelnie zasnuwające niebo.

– Ano idzie, idzie – zgodził się z nim towarzysz.

Znali się od lat, więc nie musieli dalej ciągnąć tego tematu. Wiedzieli, że czas beztrioskich wędrówek po leśnych czy górskich traktach właśnie się kończył. Chłopi zwieźli już ostatnie resztki siana z łąk, więc na sen w jakimś miękkim i ciepłym stogu nie można było już liczyć. Lada dzień zaczną się pierwsze przymrozki, deszcz taki jak tego ranka przy następnej okazji mógł zmienić się w śnieg. Wielkimi krokami nadchodziła chwila, aby zaszyć się gdzieś w przytulnym, ciepłym kącie i przeczekać zimowe miesiące.

Geralt tradycyjnie zamierzał udać się do Kaer Morhen. Wiedźmińska kolebka – siedlisko, które go ukształtowało i napiętnowało – zawsze oferowała gościnę dla swoich wychowanków. Miejsce więc miał, musiał jednak wejść do niego z pełną sakiewką na pokrycie wikt i opierunku. Wiedźmińskie zasady pod tym względem były surowe i nikt nie mógł liczyć na taryfę ulgową. Vesemir rządzący Kaer Morhen twardą ręką wielokrotnie powtarzał, że to nie przytułek i nie działa jak instytucja charytatywna.

Jaskier zamierzał przytulić się do jakiegoś królewskiego lub książęcego dworu i płacić za pobyt śpiewem i graniem. Przy okazji przytulić się pewnie także do jakiejś miłej dla oka dwórki. Chwilowo jednak nie miał lutni.

Przyjaciele stanęli więc przed koniecznością zdobycia pieniędzy, które zapewniłyby im przetrwanie zimy we względnym komforcie. Stąd też spotkanie Geralta w gospodzie i zlecenie, które przyjął. Poprzedniego wieczoru bard był pijany i wystarczyła mu jedynie informacja, że mają płatną robotę. Teraz dopytał o jej szczegóły.

– Trzeba zabić pewną potworę – odparł wiedźmin. – W pasie Gór Trombulskich są dwa szczyty, Trombul Wyższy i Trombul Niższy. Przez przełęcz między nimi wiedzie kupiecki szlak. Jest tam też sieć jaskiń, w których zmęczeni drogą podróżni często zatrzymywali się na noc. W nich właśnie zagnieździła się paskuda, którą mamy skrócić o głowę.

Jaskier miał zaoponować, że co jak co, ale on w tym towarzystwie nie był od skracania kogokolwiek, a zwłaszcza potworów. Zmilczał jednak, bo gdyby odmówił pomocy kompanowi, ten zapewne nie podzieliłby się nagrodą.

– I co tam się załęgło? – spytał niby od niechcienia bard.

Wiedźmin nieznacznie wzruszył ramionami.

– Według opisu krzyknica. Dzikim wrzaskiem, w zależności od natężenia, ogłusza ofiary, płoszy konie lub wywołuje kamienne osuwiska. Grabi, zabija, gwałci, zjada. Kolejność dowolna.

– Chcesz powiedzieć, że można najpierw zabić, a potem...

Białowłosy wzruszył ramionami po raz drugi.

– Jak to się w pospólstwie zwykle mawiać: nie takie rzeczy ze zwagrem się po pijaku robiło.

Przez kilka chwil przyjaciele bez słowa pakowali skromny dobytek, szykując się do drogi. Cel była przełęcz między Trombulami. Dla Jaskra reszta już taka konkretna nie była.

– Geralt, a ty umiesz zabić krzyknicę?

– Umiem.

– A ile ich już do tej pory zabiłeś?

– Żadnej.

– No to co mówisz, że umiesz?

– Bo umiem... teoretycznie. Wiedźminów szkoli się, żeby umieli zabić wszystkie potwory.

Geralt był pewien, że pokonanie niecodziennego przeciwnika to zwykła formalność. Z jednej strony wydawało się to budujące i Jaskier powinien się cieszyć z niezachwianej pewności siebie towarzysza. Z drugiej strony znał przyjaciela od lat i wiedział, że wiedźmin był trochę oderwany od rzeczywistości. Wiele razy wcześniej rzeczy nazywane przez niego prostymi okazywały się co najmniej skomplikowanymi w realizacji. Jego lekkie podejście do kwestii niebezpieczeństwa sprawiało, że w przeszłości wpadali w liczne tarapaty, z których teoretycznie nie było wyjścia. Uchodzili z nich jednak z życiem, w miarę cali, choć Jaskier wolał nie analizować, jakim cudem im się to udawało. A przynajmniej nie robił tego na trzeźwo.

– Są jakieś sztuczki, żeby zaciukanie krzyknicy było łatwiejsze? – zapytał, choć zastanawiał się w duchu, czy naprawdę chce to wiedzieć.

– Jest jedna – oznajmił Geralt, dosiadając konia. – Krzyknica lubi muzykę. Rzewna melodia wprawia ją w trans i wywabia z kryjówek.

Bard zbłądł, bo zorientował się, że jego udział w akcji z biernego zmienił się właśnie w czynny. Smętnie spojrział na porzuconą lutnię, a wiedźmin podążył za jego wzrokiem.

– Lepiej napraw instrument, bo jeśli na nim nie zagrasz, to jesteśmy w dupie.

Góry Trombulskie nie uchodziły za szczególnie wysokie. Cechowały się natomiast krętością wąwozów, które w wielu miejscach łączyły się pod różnymi kątami, tworząc istny labirynt. Nieostrożny łatwo

mógł się w nim zgubić. Niedoświadczony tym bardziej. Geralt nie był ani nieostrożny, ani niedoświadczony. Poza tym jego wiedźmiński medalion stanowił doskonały drogowskaz, który drgał i szarpał się, gdy wybierali złą odnogę. Uspokajał się za to po powrocie na właściwą ścieżkę.

– Geralt, a załatwiłbyś mi taki medalion, tylko że prowadzący do najbliższej dziewicy w okolicy?

Wiedźmin spojrział na towarzysza spode łba.

– Widziałeś ostatnio jakąś dziewicę? – zapytał.

– No fakt. – Bard był wyraźnie skonfundowany. – A tak w zasadzie to dlaczego ich nie ma?

– Upadek obyczajów – odparł białowłosy. – Teraz dwunasto-, trzynastolatki piszą pamiętniki w odcinkach, chwając się doświadczeniami w sferze miłosnej. Czytające to rówieśniczki naśladują je i w ten sposób chęć poklasku i taniego blichtru przyspieszyła moment inicjacji seksualnej aż do absurdu wczesnego wieku. Stąd w dziewicach posucha. Odpowiedni medalion dałoby się pewnie zrobić, ale chyba szkoda zachodu. Będzie ci dyndać na szyi i nic więcej. A poza tym...

– Dobra już, dobra! – zachnął się Jaskier, nie chcąc słuchać kolejnych argumentów przeciwko pomysłowi swojego autorstwa.

Konie człapały niespiesznie, omijając głazy i osuwiska kamieni. Geralt zamilkł, więc bardowi nie pozostało nic innego jak zajęcie się zdezelowaną lutnią. Struny, które uprzednio pękły, naciągnął do granic wytrzymałości. Próbował nastroić instrument, ale wysiłki w tej kwestii nie przyniosły satysfakcjonujących efektów. Wygięty po deszczu gryf wysechł, ale niestety się nie wyprostował. Bez odpowiednich narzędzi lutniczych powrót do jego pierwotnego kształtu był raczej niemożliwy. Jaskier stwierdził, że zagranie na takiej lutni czegokolwiek choć trochę rozpoznawalnego graniczyło z cudem. Czy uda mu się wybrzdąkać jakąś rzewną melodię dla krzyknicy? Wątpił. Nie miał jednak innego wyjścia. Musiał wspiąć się na wyżyny wirtuozerii. Do tego zaś potrzebował pewnego wspomagania.

– Geralt, masz może jakąś gorzałkę w swoich sakwach? – zapytał z nadzieją.

– Nie – padła krótka odpowiedź.

– No to rzeczywiście jesteśmy w dupie.

Kiedy stanęli przed wejściem do kompleksu jaskiń zajętych przez krzyknicę, Jaskier poczuł, jak miękna mu nogi. O odważnych czynach nieustraszonych bohaterów zdecydowanie bardziej wolał śpiewać, niż samemu brać udział w tego rodzaju przygodach. Tym bardziej że od jego śpiewu miękły kolana chętnych dziewczek, a krzyknicy tym mianem określić się raczej nie dawało. Widząc, że Geralt zdejmując z pleców miecze, sam ze swoich zdjął lutnię. Kiedy wiedźmin zwykły miecz odłożył na bok, a z drugiej pochwy wyjął srebrne ostrze, Jaskier mocno chwycił gryf. A gdy jego przyjaciel postąpił dwa kroki ku wejściu do jaskini, strach obleciał Jaskra całego i mocno niepewnym głosem zapytał:

– Geralt, a może wzięlibyśmy jakąś inną robotę?

Wiedźmin zamarł w pół kroku. Przez chwilę wpatrywał się w drgający na piersi medalion, po czym oznajmił:

– Za późno, żeby się wycofać. Krzyknica wyczuła nas i nadchodzi. Zagraj coś rzewnego albo to będzie nasze ostatnie zlecenie.

Chcąc nie chcąc, Jaskier zagrał. Zdezelowana lutnia wydała dźwięki, które jedynie przy wyjątkowo dobrej woli i równie luźnej interpretacji pozwalały rozpoznać balladę o diable, szukającym miejsca,

gdzie mówi się dobranoc. Ewentualnie piosenkę o zielonych oczach, przez które oszalał niejaki Zenon z Białego Stoku.

Pod koniec utworu w czarnym wejściu do kompleksu jaskiń zamajaczyła jakaś niewyraźna postać. Odziana była w łachmany, głowę miała zawiniętą brudną chustą, która zsuwała się na twarz, uniemożliwiając dostrzeżenie jakichkolwiek jej elementów poza jednym upiornym szczegółem – ustami. Usta zaś były szeroko otwarte do krzyku.

Bard zląkł się, poczuł jak po wewnętrznej stronie nogawek płynie mu ciepła struga moczu, ale nie przestał grać. Widząc, że rzewna nuta rzeczywiście wprawiła stwora w specyficzny trans, powściągnął nakazujący ucieczkę instynkt i grał dalej. Coraz lepiej mu zresztą ta gra wychodziła, więc postronny słuchacz z pospólstwa nie miałby problemu w zorientowaniu się, że kolejny utwór to historia o zakochanym chłopie, który widzi, że jego oblubienica tu jest i tańczy dla niego.

Krzyknicza postąpiła dwa kroki do przodu, kołysząc się jak zahipnotyzowana. Jeszcze trochę i znajdzie się w zasięgu miecza – uznał Jaskier i aby wywabić potwora jeszcze bardziej postanowił wykonać najbardziej rzewną balladę, jaką miał okazję dotychczas poznać. Mimo mokrych spodni i podchodzącego do gardła żołądka odważył się dołączyć do muzyki śpiew. W duchu modlił się tylko o jedno – żeby w pobliżu nie było żadnego świadka tego wykonania. W przełęczy między Trombulem Wyższym i Niższym zabrzmiała smętna pieśń o pięknym księciu, który próbuje obudzić śpiącą królową, twierdząc, że jest szalona, że zawsze nią była i że powinna wreszcie skończyć śnić.

Krzyknicza postąpiła jeszcze jeden krok. Świsnęło srebrne ostrze, wypolerowana klinga błysnęła na moment w promieniach słońca, po czym z nieprzyjemnym młaśnięciem zagłębiła się w szyi potwora. Po chwili oddzielona od tułowia głowa upadła na ziemię z głuchym łupnięciem. Na ziemię osunął się też bliski omdlenia Jaskier, prosząc wszystkich bogów o to, aby pozwolili mu zachować kontrolę nad drugim zwiercem.

Kiedy Geralt pakował łeb zabitego potwora do torby, Jaskier jako tako doszedł do siebie. Ochłonął, serce wróciło do spokojnego rytmu, ustąpiła suchość w gardle. Zmiana spodni na suche i czyste dopełniła formalności. Bard odzyskał animusz i optymizm. W nieuzasadnionym przypiływie tego ostatniego oznajmił:

– Myślę, że to ja odwalilem większość roboty, więc proponuję zmienić nieco warunki podziału wynagrodzenia.

Wiedźmin spojrzał na niego jak na wariata.

– Od kiedy to zlanie się w gacie należy do bohaterskich czynów?

Jaskier poczerwieniał na twarzy ze złości.

– Zagrałem rzewnie?

– Zagrałeś.

– Wprawiłem krzyknicę w trans?

– Wprawiłeś.

– Wywabiłem ci paskudę pod miecz? – To pytanie bard prawie wykrzyczał.

– Wywabiłeś.

– No, więc?

Wiedźmin skrzywił się, przez co blizna na jego policzku rozciągnęła się i nadała obliczu wyraz bardziej złowrogi niż zazwyczaj.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie – wycedził Geralt przez zaciśnięte zęby. – Upiłoliłeś łeb krzyknicy lutnią?

Z Jaskra momentalnie uszło powietrze. Dosiadając konia i kierując się w powrotną drogę, pozwolił sobie na ciężkie westchnięcie.

– Dobra! Ty jesteś od upitalania łbów, niech ci będzie! – A potem pod nosem niby do konia dodał: – Wielki wiedźmin się znalazł. Nosi taki dwa miecze, jeden na ludzi, drugi na...

Nie zrobił tego jednak dostatecznie cicho, bo zanim dokończył zgryźliwy komentarz, na trombulskiej przełęczy rozległ się wściekły wrzask Geralta:

– Zamknij ryj!

Pomyłka

Zbyszek lubił alkohol, ale pił go raczej rzadko. Nie miał po prostu do niego głowy. W chwili, gdy inni dopiero zaczynali łapać dobry humor, on zazwyczaj był już na etapie problemów z utrzymaniem równowagi, o splątaniu języka nie wspominając. Stawał się wówczas obiektem drwin. Koledzy lekceważąco machali na niego rękami i odwracali się plecami od małolitrażowca. Zbyszek unikał alkoholu także dlatego, że pojawiający się po popijawie kac wprost urywał mu głowę. Inni dochodzili do siebie następnego dnia, on cierpiał trzy razy dłużej. Nie mógł poradzić sobie z tętniącym bólem głowy, nie potrafił pozbyć się nieprzyjemnego smaku z ust. Nauczony kilkoma takimi trzydniowymi torturami unikał napojów wysokokowych. Nie zawsze się to jednak udawało, ponieważ złośliwy los od czasu do czasu rzucał mu kłody pod nogi. Część z nich Zbyszek przeskakiwał, o niektóre się potykał.

Tak właśnie się stało w pewien czerwcowy weekend podczas spotkania integracyjnego w firmie, w której pracował. O wyjeździe mówiono od jakiegoś czasu jak o nagrodzie za realizację planu sprzedażowego. Zakładane na koniec pierwszego półrocza zyski osiągnięte zostały już na początku maja. Stało się wówczas jasne, że zespół przedstawicieli i menadżerów zasłużył na sowite premie. Był powód do zadowolenia – był pretekst do zabawy. Pod szyldem podnoszącego kwalifikacje zawodowe szkolenia miała się odbyć tęga popijawa.

Zbyszkowi pomysł wyjazdu integracyjnego zarazem się podobał i nie podobał. Z jednej strony chciał oderwać się od rutyny codziennych spotkań z klientami i choć chwilę odpocząć. Z drugiej – był pewien, że jego wrodzona słaba tolerancja alkoholu sprawi, że znów rozjadą się poziomy percepcji między nim a kolegami z pracy, przez co nie będzie się zbyt dobrze bawił. Opcja nie picia z owymi kolegami zaś nie wchodziła w rachubę. Poza tym termin wyjazdu niefortunnie nałożył się na urodziny córki. Planowano spotkanie rodzinne od dawna i ani żona, ani córka nie chciały nawet myśleć o zmianie daty imprezy. Zbyszek znalazł się między młotem a kowadłem. Próbował coś ugrać po obu stronach problemu, ale za każdym razem odnosił wrażenie, że odbija się od niewzruszonego muru. Szef firmy oznajmił mu, że wszyscy razem pracują, więc wszyscy razem mają się bawić – koniec i kropka! Nie przewidywał żadnych odstępstw od tej reguły. Posunął się nawet do stwierdzenia, że jeżeli ktoś na czas wyjazdu przyniesie zwolnienie, to rzeczywiście zostanie zwolniony. Z firmy, raz na zawsze. Perspektywa utraty dobrze płatnej pracy do miłych nie należała. Zbyszek był dobry w tym, co robił. Miał certyfikaty z wielu szkoleń i pewnie łatwo zatrudniłby się u kogoś z konkurentów na rynku, wolał jednak tego nie doświadczać.

Żona okazała się równie niewzruszona jak szef. Przystrojona w wyniosłą pozę stwierdziła, że bez najmniejszych problemów poradzi sobie na spotkaniu rodzinnym bez niego. Dała jasno do zrozumienia, co sądzi o jego postawie, i przeszła w tryb nieodzywiania się do męża. Nie były to jednak zupełnie ciche dni, bo Zbyszek co rusz musiał słuchać pełnych wyrzutów westchnięć i prychnięć. Pod wymownymi spojrzeniami małżonki aż płonęły mu uszy.

Córcie zakręciła się łezka w oku, dziewczynka siąknęła nosem ze dwa razy, ale ostatecznie dała się udobruchać obietnicą kupienia na urodziny wymarzonego prezentu. Zażyła sobie wielką lalkę z bajki, którą niedawno oglądała. Tatuś uroczyście przyrzekł, że przywiezie ją z firmowego wyjazdu.

W towarzystwie pełnego dezaprobaty wzroku małżonki, Zbyszek spakował kilka niezbędnych rzeczy w sportową torbę i z ciężkim westchnieniem wyszedł z domu. Szef zakazał pracownikom podróżowania służbowymi samochodami. Na szkolenie miał zawieźć wszystkich wynajęty autokar. Na miejscu zbiórki panowała wesoła atmosfera i to trochę rozchmurzyło oblicze Zbyszka. Zamienił kilka słów z kolegami, ukłonił się i uśmiechnął do koleżanek z sekretariatu oraz z działu księgowości, uścisknął rękę szefowi.

Konsumpcja zaczęła się już w autokarze. Z charakterystycznymi suchymi trzaskami odkręcano zakrętki, z równie charakterystycznymi syknięciami odskakiwały z butelek kapsle. Mimo licznych zachęt do spożycia Zbyszek dzielnie nie wypił ani kropli. Wymawiał się chorobą lokomocyjną i strachem o jej ewentualny wylewny finał. Nikt nie chciał obcować z pawiem w autokarze, więc bez większych problemów udało się Zbyszkowi uniknąć konsumpcji.

Po kilku godzinach jazdy rozochoczone towarzystwo dotarło na miejsce. Wynajęty na wyłączność hotelik przywitał gości zapachem świeżo rozpalonego grilla i równym rzędem kieliszków, szklanek i kufli. Wszystkie były pełne. Można było uznać, że przed nowo przybyłymi stał szwedzki bar, a nie stół. Wymówka w postaci choroby lokomocyjnej przestała być aktualna. Nagabywany przez samego szefa Zbyszek uległ w końcu presji i się napił.

A potem wszystko poszło z górki. Szef zarządził: „Na drugą nóżkę!”. Koledzy spytali: „Co, z nami się nie napijesz?”. Koleżanki stwierdziły, że jest strasznie spięty i powinien coś chlapnąć, żeby się rozluźnić. Zbyszek nie zdążył się zameldować, a już był pijany. Z krótkiego przemówienia szefa zapamiętał tylko tyle, że cokolwiek by się nie stało w tym hotelu, w hotelu pozostanie. Wszyscy dostali zielone światło, żeby zaszaleć. Był tylko jeden warunek: zakaz uwieczniania uczestników szkolenia – żadnych aparatów, żadnych filmików w komórkach.

Z pierwszego wieczoru Zbyszek zbyt wielu wspomnień nie miał. Jakieś roześmiane twarze – niby znajome, ale rozmazane, bez konkretnych imion czy nazwisk. Jakaś muzyka – głośna, rytmiczna, ale nierozróżnialna w poszczególnych piosenkach, zlewająca się w jeden ciąg z motywem przewodnim typu umc-umc-umc. I jakieś rozmowy – z pewnością głębokie, na temat sensu istnienia i zrozumienia tajemnicy wszechstworzenia, ale bez możliwości powtórzenia z nich choćby jednego zdania w dniu następnym.

Dnia następnego wołał zaś nie wspominać. Kac gigant urywał mu głowę. Nie pomogło śniadanie, poprawy nie przyniosły ani litry wlewanych w gardło soków, ani napoje energetyczne. Te ostatnie przyparowały go tylko o zgagę i niezdolne kołatanie serca. Skrzydeł nie dodały, ale Zbyszek i tak miał wrażenie, że był dosłownie o krok od zupełnego odlotu. Widząc ogrom cierpienia pracownika, szef stwierdził, że lekarstwo mogło być tylko jedno. W myśl zasady „Lecz się tym, czym się strułeś” Zbyszkowi zaproponowano klina.

Uznał, że gorzej i tak już być nie może, więc walnął setkę wódki bez większych oporów. Niedługo potem, o dziwo, poprawiło mu się. Doznał wówczas olśnienia – skoro kolejna porcja alkoholu oddaliła trudy walki z kacem w nieokreśloną przyszłość, to jego stężenie we krwi nie powinno zbyt szybko spadać, przynajmniej do końca wyjazdu integracyjnego. Uznał, że lepiej mieć szum w uszach niż trzęsienie ziemi w żołądku. I zgodnie z zapamiętaną z poprzedniego dnia sugestią Zbyszek pozbył się zahamowań

i zaszalał. Zaszalał tak, jakby jutro miał być koniec świata, i zawstydził nawet najtwardszych imprezowiczów.

Gdzieś w ferworze walki z tyłu głowy kołatała mu się natrętna myśl. Początkowo była niesprecyzowana. Wiedział, że powinien coś zrobić, dopełnić jakąś formalność, ale umykało mu ją. W miarę upływu czasu rosło stężenie alkoholu w jego krwi, paradoksalnie rosła też przejrzystość umysłu. W końcu natrętna myśl się skryształizowała – Zbyszek przypomniał sobie o obietnicy złożonej córce. Miał jej przywieźć prezent urodzinowy – lalkę przedstawiającą postać z filmu Disneya. Czego jak czego, ale zaufania córki nie mógł zawieść. Nabuzowany alkoholem po czubki uszu ruszył zrealizować wielkie zadanie.

W firmie jeszcze długo po wyjeździe integracyjnym krążyły legendy o tym, jak nawalony jak stodoła po żniwach Zbyszek sterroryzował mieszkającego niedaleko hotelu leśniczego i zmusił go do polowania. W polowaniu wzięła udział połowa firmy i na cud zakrawało to, że nikt nikogo nie postrzełił. Jeszcze większym cudem było to, że mimo ogólnego chaosu i głośniego rozgardiaszu polowanie zakończyło się sukcesem. Ostatecznie za spust pociągnął leśniczy – jedyny trzeźwy w całym towarzystwie. W przeciwnym razie różnie mogłoby się to skończyć.

Mniej więcej w takich okolicznościach Zbyszek stał się posiadaczem świeżo upolowanej sarny – córka oglądała bajkę o jelonku Bambi. Jelenia nie udało się ustrzelić, uznał więc, że będzie musiała zadowolić się jego żeńskim odpowiednikiem. Był przekonany, że to świetny pomysł, bo prezent w stu procentach naturalny zawsze wypadł lepiej na tle produkowanych w Chinach tandetnych pluszaków.

Nikt do końca nie potrafił wyjaśnić szczegółów trzeciego i zarazem ostatniego dnia szkolenia oraz podróży powrotnej ze specyficzną zdobyczą w bagażniku autokaru. Po prostu jak Zbyszek złapał odpowiednią fazę – był nie do zatrzymania. W efekcie końcowym stanął przed drzwiami swojego mieszkania na chwiejnych nogach z nietuzinkowym prezentem przerzuconym przez barki.

Na widok taty córka uciekła z przedpokoju z panicznym wrzaskiem. Zaniepokojona żona wyszła z kuchni, stanęła naprzeciw wciąż pijanego Zbyszka i na długą chwilę zaniemówiła.

– Bajki ci się, głupku, pomyliły – westchnęła wreszcie, gdy odzyskała władzę nad strunami głosowymi. – To miała być Mała Syrenka, a nie sarenka.

Sposób

Luke stanął przed problemem. I to takim z prawdziwego zdarzenia, a nie niewielką przeszkodą, którą ostatecznie dawało się pokonać po chwili głębszego zastanowienia. Tym razem czuł, że jak głęboko by się nie zastanawiał, rozwiązania nie znajdzie. Choć z natury nie był pesymistą, sam przed sobą musiał przyznać, że z tak wielkim kłopotem jeszcze się w dotychczasowym życiu nie mierzył. Nie wiedział, czy wystarczy mu inteligencji i determinacji, aby wygrzebać się z dołka i wyjść na prostą. Innymi słowy: był w czarnej dupie. Czuł, że ze wstydu palą go uszy.

– Jak to możliwe? – zadawał sobie co chwilę pytanie. Dlaczego ja?

Odpowiedź kołatała mu się gdzieś z tyłu głowy.

Jego nauczyciel, mistrz Yoda, wielokrotnie powtarzał:

– Coś za coś, chłopcze drogi mój. Mocy im więcej zyskujesz ty, w sferze innej tyle drugie tracisz.

Luke puszczał mimo uszu te mądrości, ponieważ był zafascynowany możliwościami danymi przez Moc Jedi. Zgłębiał jej tajniki w każdej wolnej chwili, nie dopuszczał do świadomości, że owa moc może mieć skutki uboczne. Przez lata niczego złego nie doświadczał, więc nie przejmował się gładzeniem zielonoskórego gнома. Najwyraźniej przyszło mu teraz zapłacić rachunek za niefrasobliwość.

– Szlag! – zaklął Luke. – Ale wstyd!

Z obecnej perspektywy patrzył na wszystko nieco inaczej. Sam przed sobą musiał przyznać, że dowody złego wpływu Mocy Jedi dawało się jednak zauważyć wcześniej. Trzeba było tylko chcieć je dostrzec. Wystarczyło popatrzeć na Yodę. Długowieczność na każdym odciskała swe piętno, ale żeby aż takie? Przypomniał sobie pierwsze wrażenia, gdy zobaczył starego mistrza. Pomyślał wtedy, że gdyby spotkał go gdzieś na ulicy nocą, spieprzałby w podskokach. A jakby zobaczył go pies, ze strachu zabiłby się o budę. Swego czasu słyszał o tym mitycznym zwierzu i z treści opowiestek wynikało, że psy mieszkają w budach, były do nich przywiązywane i się o nie zabijały. Nie do końca rozumiał kontekst tej opowieści, ale wówczas wydawało mu się, że potencjalne zachowanie owego psa byłoby adekwatne podczas spotkania z Yodą. Jak wszechświat długi, szeroki, wysoki i ograniczony w czasie drugiej takiej paskudy ze świecą byłoby szukać.

Poza tym miał też inne dowody wpływu Mocy Jedi, na przykład te w formie dźwiękowej. Stary mistrz wypowiadał się z dziwną manierą. Przystawianie szyku wyrazów w zdaniu momentami doprowadzało Luke'a do szału. Kto normalny tak się wysławiał? Czasownik na końcu zdania?

Podobno dawno, dawno temu w odległej galaktyce na planecie Ziemia istniało pewne państwo. Niemcy – jeśli dobrze zapamiętała nazwę z lekcji mitologii. Mieszkańcy tego kraju mieli swoistego rodzaju skrzywienie intelektualne, które polegało między innymi na takim właśnie sposobie konstruowania zdań. Dużo rzeczowników oraz przymiotników i dopiero na końcu zdania łądował

czasownik, który robił jaki taki porządek w całym tym galimatiasie. Podczas jednych zajęć nauczyciel mitologii mówił, że Niemcy zmieniali nawet kolejność odczytywania liczb. Zamiast na przykład „dwadzieścia pięć” mówili „pięć i dwadzieścia”. Według Luke’a, jeśli to była prawda, to nie zasługiwała na miano skrzywienia. To było intelektualne spierdolenie.

– Skup się, gamoni! – ofuknął sam siebie Luke. Jego myśli uciekały do błahych tematów z przeszłości, a to nie przybliżało go do rozwiązania problemu. Problem zaś istniał i w miarę upływu czasu jego wielkość rosła. – A może by tak...

W jego głowie zaświtała pewna myśl. Była kusząca, ale chwilę potem dopadły go wątpliwości. Czy tak można? Czy to się godzi w ten sposób? Luke wpadł bowiem na pomysł wybrnięcia z kryzysowej sytuacji przy pomocy sztuki Jedi. Moc dawała się wyczuć wszędzie wokół niego. Potrafił po nią sięgnąć i siłą woli wykorzystać do konkretnych celów. Ale czy to nie będzie błędne koło? Użyje w końcu Mocy, aby zniwelować działania uboczne Mocy. Czy to się w ogóle uda? I czy czasem efekty uboczne się nasilą? Poza tym zostawała jeszcze jedna kwestia – kodeks rycerza Jedi. A w nim zawarte było stanowcze, niebudzące wątpliwości w kwestii interpretacji, stwierdzenie, że Moc należy wykorzystywać jedynie w szczytnych celach – w walce z ciemną stroną, w szczeniu dobra i pokoju. Oczywiście nikt nikomu nie zmyłby głowy za to, że na przykład przy jej użyciu ktoś podgrzałby sobie kubek wystygłej herbaty. Albo gdyby powstrzymał rwącą się pospiesznie na zewnątrz biegunkę. To były drobiazgi, na które nie zwracano uwagi. Skoro Moc otaczała wszystkich wokół, skoro jej pokłady zdawały się być niewyczerpane, to dlaczego nie skorzystać z nich i nie ułatwić sobie życia? Każdy przecież pragnie żyć w komforcie, popijać gorącą herbatę bez konieczności sprintu do toalety.

Problem Luke’a nie należał jednak do codziennych drobiazgów. Zdecydowanie był niecodzienny, a jego kaliber zasługiwał na miano wielkiego. Nie wiązał się jednak z szeroko pojętą walką dobra ze złem – miał wymiar wyłącznie prywatny. Czy mógłby więc w celu jego rozwiązania użyć Mocy Jedi? Czy to byłoby honorowe? Wykorzystywanie niezwykłych umiejętności w celach, co by nie mówić, przyziemnych, nie licowało z kodeksem rycerza. Z drugiej strony jeśli nie Moc, to co? Wydawało się, że bez jej użycia niczego nie wskóra.

Luke długo bił się z myślami, nie mogąc się zdecydować. W końcu stwierdził, że musi w tej kwestii poradzić się kogoś mądrzejszego. Odszukał więc swojego nauczyciela i przywitał się z szacunkiem tradycyjnym pozdrowieniem rycerzy Jedi. Nieco bełkotliwa odpowiedź zabrzmiała jak parafraza powitania:

– Niech Moc będzie z tobą także!

Luke wyłuszczył nurtujący go problem.

– Żeś mi tu problem wielki wyłuszczył – podsumował łuszczenie Yoda. – Moc kapryśna i nieprzewidywalna jest. – Zacukał się po tym stwierdzeniu.

Luke dopiero po kwadransie zorientował się, że niczego więcej nie usłyszy. Mistrz nie popadł bowiem w zadumę nad rozwiązaniem jego problemu, tylko zwyczajnie zasnął.

– Dzięki, mistrzu! – westchnął Skywalker i wrócił do siebie. Był w punkcie wyjścia, stracił czas, a problem jak go nurtował wcześniej, tak nurtuje obecnie. – Na czarną dupę lorda Vadera! – Luke wkurzył się nie na żarty. – Przecież tak się nie da! Musi być jakieś rozwiązanie!

Mimo oporów moralnych, mimo trudności w interpretacji etyki płynącej z kodeksu rycerza Jedi postanowił spróbować wykorzystać Moc. Na nic innego nie wpadł, a czas naglił. Leia miała przyjść po

południu i jeśli do tego czasu nie będzie gotów, to... To będzie wstyd! Zabrał się do tematu metodycznie, małymi krokami. Skupił w sobie Moc – na początek niezbyt dużo.

Wiruj! – wydał mentalny rozkaz i na jego oczach przelatujący nieopodal barwny motyl wpadł w powietrzny korkociąg. Luke uśmiechnął się na widok nieporadnych prób owada, by przeciwstawić się działającej na niego sile.

Leć! – następny rozkaz mentalny sprawił, że pełzący po balkonowej balustradzie ślimakopodobny stwór pofrunął niczym pocisk w stronę sąsiedniej posesji i znikł za jej ogrodzeniem. Skywalker uśmiechnął się, słysząc jak wiecznie pijany Han Solo bełkocze:

– Muszę przestać pić, bo widzę latające ślimaki!

Luke niespecjalnie wierzył w to postanowienie. Alkoholizm byłego dowódcy Sokoła Millennium był wprost legendarny i incydent ze ślimakiem nie miał raczej szans na to, aby przerwać ciąg nawet na krótko, o przerwaniu na stałe nie wspominając. I pomyśleć, że Han zaczął pić przez to, że Chewbacca ostatecznie okazała się samicą i jakiś czas po powrocie z urlopu na macierzystej planecie powiła na pokładzie Sokoła małe... co? Chewbacciątka? Solo załamała się wtedy, gdy jedno z maleństw tuż po urodzeniu otworzyło oczy i, wskazując go palcem, powiedziało:

– Tata brzyda!

– Skup się, gamoni! – ofuknął po raz drugi sam siebie Luke, bo znów jego myśli zeszyły na boczne tory. Lubił sąsiada, współczuł mu poważnego załamania nerwowego i życzył wyrwania się z nałogu, ale to nie był dobry moment na roztrząsanie zawilości życia Hana Solo. Wkrótce miała zjawić się Leia. Jeśli do jej przybycia nie rozwiąże problemu, to księżniczka się wkurzy. A wkurzona księżniczka to nie przelewki! Odkąd pamiętał, Leia była apodyktyczna i mocno skupiona na sobie. Zawsze musiała dostać to, co chciała. W przeciwnym razie wpadała w szał, a wówczas cierpiało całe otoczenie. Luke nie chciał cierpieć, ale obecnie nie był w stanie spełnić zachcianek księżniczki.

Skupił się mocniej niż przed chwilą, sięgnął po więcej Mocy. Pod wpływem jego woli uniósł się głaz pełniący funkcję ozdobną w pobliskim ogrodzie. Ważył ponad tonę, a lewitował niczym piórko na wietrze. Skywalker opuścił go dokładnie w to miejsce, z którego go poderwał.

Jestem silny – wniosek był oczywisty. Wzrok Luke'a padł na rosnącą na trawniku stokrotkę. Skupił się na niej i metodycznie w równych odstępach czasu powyrywał wszystkie płatki z kwiatka. Jestem precyzyjny – kolejna konsternacja była równie budująca. Nie zamierzał odwlekać działań w sprawie zasadniczej. Dam radę! – uznał Skywalker i opuścił do kostek najpierw spodnie, potem bokserki.

Podnieś się! – wysłał mentalne polecenie w stronę okolic intymnych. Nie uzyskał jednak pożądanego efektu. Skupił w sobie tyle Mocy, ile był w stanie. Skomasował ją i rzucił w jednym silnym rozkazie: Wstań!

Żyły nabrzmiały mu na szyi, oczy prawie wyszły z orbit, na policzkach i czole zagościła czerwień. I nic, jeśli nie liczyć krótkiego pierdnięcia, które przy okazji wyrwało się spomiędzy jego zaciśniętych pośladków. Luke był załamany. Moc Jedi odcisnęła na nim bolesne piętno. Nie postarzała go, nie zmieniła w bełkoczącego gnoma. Sprawiała natomiast, że stał się impotentem. Leia się wkurzy – gdzieś z tyłu głowy kołatała się mu ostrzegawcza myśl. Za wszelką cenę nie mógł do tego dopuścić.

Cóż... – westchnął w duchu. Przyjdzie mi zmierzyć się z bardziej konwencjonalnymi metodami radzenia sobie z takim problemem.

Trchę się skrzywił na myśl o czekających go działaniach, ale chwilę potem wzruszył ramionami. Jeśli człowiek nie ma innego wyjścia, trzeba zacisnąć zęby i być radykalanym w postępowaniu.

– Do dzieła! – powiedział sam do siebie. – Gwóźdź w chuja i magnes na szyję!

W drodze do pracy

Ryszard miał wizję. Szedł pospiesznie do pracy, kiedy niespodziewanie spłynęła na niego i wypełniła bez reszty umysł. Aż zatrzymał się w pół kroku porażony jej intensywnością. Idący za nim mężczyzna w ostatniej chwili uniknął zderzenia i wyminął go, ocierając się nieznacznie ramieniem. Skomentował w kilku niecenzuralnych słowach tak niekonwencjonalne zachowanie, jednak ich adresat w ogóle go nie słyszał. Stał w bezruchu, jakby się wyłączył, sprawiając wrażenie robota, któremu w środku wykonywania jakiejś czynności wyczerpały się akumulatory. Nic ze świata zewnętrznego do niego nie docierało, nic nie było w stanie rozproszyć go choćby w najmniejszy nawet sposób.

Wizja, którą właśnie przeżywał, była piękna, wprost zachwycająca. W jednej chwili szedł do pracy, myśląc o czekających go zadaniach, projektach i telefonach, w drugiej stał pośrodku chodnika i... wiedział. Wiedza, którą właśnie posiadał, oszałamiała.

Nie dostrzegając zdziwionych spojrzeń rzucanych przez mijających go pospiesznie ludzi, stał tak, jakby nigdzie wcześniej nie szedł, i zwyczajnie kontemplował wiedzę. Znał odpowiedzi. Znał rozwiązania. Potrafił wszystko wyjaśnić: odwieczne zagadki przestały istnieć, zjawiska dotąd niewytłumaczalne znalazły wyjaśnienia, a zakończone fiaskiem sprawy kryminalne stały się przejrzyste jak szklana tafla. Wiedza, która wypełniła jego umysł była nieprzebrana. Przed oczami przelewały mu się równania fizyki kwantowej, złożoności związków chemicznych na poziomie molekularnym i przestrzenne mapy planetarne sąsiadujących z Drogą Mleczną galaktyk. Miał dokładne, szczegółowe pojęcie dosłownie o wszystkim.

Nie czuł upływającego czasu. Stał na chodniku wymijany przez zaskoczonych ludzi, niewzruszony jak marmurowy pomnik. Rozpadało się. Zacinające lekko z ukosa krople deszczu szybko zmoczyły mu włosy, spływały po czole, nosie i brodzie. Chłodny wiatr tarosił bezlitośnie kołnierzem i połami jego podniszczonego płaszcza – nie obchodziło go to ani trochę. Na zewnątrz był oazą kamiennego spokoju. Natomiast w środku wrzał. Posiadał całą wiedzę świata i nie potrafił zdecydować, co ma z nią zrobić.

Wiedzieć znaczyło moc. Otwierały się przed nim nowe, nieograniczone możliwości zmiany pracy, awansu, zwiększonych dochodów. Był aktualnie wybitnym specjalistą w każdej możliwej dziedzinie. Mógł pójść do pierwszego lepszego ośrodka akademickiego i zabłysnąć jako geniusz ekonomii, genetyki, psychiatrii albo kryptologii. Znajomość wszystkich języków, włącznie z martwymi narzeczaniami setek nieistniejących już plemion i nacji, otwierała szeroko kolejne, tym razem humanistyczne, podwoje na jego drodze. Już widział te pełne zachwyty tytuły w prasie: *Poliglota doskonała*, *Językowy skarb narodów* i tak dalej.

Poza tym miał szerokie podstawy do tego, aby przejść do historii na przykład jako wybitny paleontolog. Bez zająknięcia, ot tak sobie po prostu, mógł wyjaśnić prawdziwą przyczynę wyginięcia dinozaurów. Kosmici, którzy w zamierzchłej przeszłości wylądowali na Ziemi i tragicznie w skutkach zainfekowali pradawne gady, starali się zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Nie zrobili tego jednak

wystarczająco dokładnie i Ryszard bez trudu mógł wskazać miejsca, gdzie można znaleźć dowody ich istnienia. Zresztą żabopodobni Xorianie jeszcze wielokrotnie odwiedzali kulę ziemską w późniejszych okresach, choć czynili to bardziej ostrożnie niż za pierwszym razem.

Moknący w deszczu Ryszard napawał się czekającym go uznaniem i sławą. Zamierzał ujawnić przyczynę zagłady cywilizacji Majów. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie przyczynili się do tego hiszpańscy konkwistadorzy. Badaczom tematu umykał jak dotąd bardzo prosty fakt. Majowie widzieli lądowanie obcych. Byli świadkami przybycia nieporównywalnie bardziej zaawansowanych technicznie istot – należałoby dodać w tym miejscu, że świadkami niewygodnymi. Obcy pogwałcili międzygwiazdne prawo zakazujące ingerencji, w jakikolwiek sposób, w rozwój prymitywnych ras, choćby przez samo pokazanie się. Zatarli więc ślady, poprzez sterylizację południowoamerykańskich Indian. Całe plemię wyginęło w ciągu jednego pokolenia. Ryszard potrafił to z łatwością udowodnić.

Mógł rzucić nowe, tym razem prawdziwe światło na katastrofę tunguską. Zdawał sobie sprawę z faktu, że jej wyjaśnienie było dla przeciętnego zjadacza chleba zbyt fantastyczne, aby przyjąć je na wiarę. Prawda, choćby nie wiadomo jak dziwna, pozostawała jednak prawdą. W Układzie Słonecznym rozegrano międzygwiazdne mistrzostwa turboślizgaczy. Na szóstym odcinku specjalnym doszło do przypadkowej kolizji i jeden z rywalizujących pojazdów wypadł z wyznaczonej trasy. Złapany przez pole grawitacyjne Ziemi wyrznął w jej powierzchnię, czym zbudził nieświadomych sportowców zmagających mieszkańców Syberii z pierwszego snu. Akcja ratunkowa była błyskawiczna i pechowy pilot Scynthianin nawet ją przeżył. Śladów zderzenia nie dało się jednak zatrzeć. Hipotez wyjaśniających przyczynę katastrofy powstało mnóstwo. Ryszard znał prawdziwą.

– Tam dalej jest przystanek autobusowy. Niech się pan schowa pod wiatę, bo się pan przezięb! – powiedziała przechodząca obok staruszka. Nie doczekała się jednak żadnej reakcji.

Ryszard stał mokry od deszczu i sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie słyszał.

Babinka wzruszyła ramionami.

– Myśliciel – mruknęła i z politowaniem pokręciła głową. Opatuliła się szczerzej płaszczem, poprawiła ustawienie pamiętającego lepsze czasy parasola i poczłapała dalej.

Na twarz myśliciała wpełzł zaś ledwo widoczny uśmiešek. Wywołała go myśl o rzeczywistej przyczynie zatonięcia Titanica.

Góra lodowa. Niezłe! – pomyślał.

Owszem, przepływała w tamtej okolicy i nieliczni świadkowie, którzy przeżyli katastrofę, mogli wówczas ją widzieć. W rzeczywistości zaś pasażerski liniowiec zderzył się z wynurzającą się łodzią obcych. Altarianie mieli kiedyś na Ziemi sondę radiolokacyjną, która ułatwiała im międzygwiazdną nawigację. Działo się to w czasach, zanim powstało jakiegokolwiek życie organiczne na planecie. Naturalne jej przeobrażenia i ruchy płyt tektonicznych uszkodziły sondę. Awaria była na tyle poważna, że jej naprawa okazała się nieopłacalna. Nowe urządzenie radiolokacyjne zainstalowano na Marsie, stare zaś porzucono. Prawo Pangałaktyczne nie zapomniało jednak o nim. Sprawa sondy trafiła wreszcie do odpowiedniego urzędnika i została rozpatrzona. Altarianom nakazano uprzątnięcie zepsutego urządzenia w trybie pilnym. U podłoża tej decyzji leżał fakt intensywnego rozwoju ludzkiej cywilizacji i związane z tym gwałtownie rosnące ryzyko jego odkrycia. Obcy przylecieli na Ziemię i odnaleźli sondę na dnie Atlantyku. Akcja wydobywcza była prosta i weseli z natury Altarianie zaczęli gratulować sobie sukcesu jeszcze przed jej zakończeniem. Podchmieleni kwasem trichlorooctowym wpakowali się przy wynurzeniu na Titanica. Uciekli z miejsca katastrofy niezauważeni. Oderwana z kadłuba ich łodzi

głębinowej płyta z nanokrystalicznego węgla leżała jednak na dnie oceanu, co czyniło ją jednoznacznie obciążającym dowodem. Ryszard potrafił dokładnie wskazać miejsce, gdzie powinno się wysłać nurków.

Bez trudu mógł również wyjaśnić przyczynę katastrofy Hindenburga. W archiwum galaktycznej policji wciąż znajdowało się holowizyjne nagranie z pościgu za kammedyjskimi piratami. Brawurowa gonitwa zahaczyła w pewnym momencie o atmosferę Ziemi. Podczas ucieczki bezwzględni Kammedyjczycy ostrzeliwali się z policyjnymi patrolowcami. Jeden z zabłąkanych promieni laserowych trafił w ziemski sterowiec. Będące cudem ówczesnej techniki dzieło ludzkich rąk spłonęło w okamgnieniu. Ryszard wiedział o tym wszystko. Znał numer policyjnego nagrania, potrafił wskazać, na której półce i w którym rzędzie stoi płytka infonośna. Archiwum na Kasjopei było co prawda daleko od Ziemi, ale dzięki antenom podprzestrzennym zostawionym dawno temu przez Yoturan z systemu Barnarda mógł w każdej chwili nadać komunikat z prośbą o udostępnienie dowodu.

Swoją drogą te anteny to też niezła bomba! Przez parę tysięcy lat nikt nie domyślił się przeznaczenia egipskich piramid. Umieszczanie w nich mumii faraonów było działaniem, które zakłócało transfer danych. Skąd jednak Starożytni Egipcjanie mogli o tym fakcie wiedzieć? Zaś dzisiejsi naukowcy mocno zasugerowani tym obrzędkiem błędzieli po omacku i gubili się w niezbyt wyszukanych teoriach.

No, cóż! – pomyślał Ryszard. Najwyraźniej rasa ludzka nie dorosła jeszcze do odpowiedniego poziomu.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jak zmieni się oblicze świata po ujawnieniu tych wszystkich rewelacji. Jak zareagują ludzie, kiedy się dowiedzą, że legendarny – w ich mniemaniu – Minotaur naprawdę istniał? A co powiedzą na fakt, że potwór żyje nadal, przykuty przez ptakopodobnych Horresów do dna oceanu? Wiążące go molekularne łańcuchy są nierozzerwalne i niewrażliwe na działanie czynników fizycznych. Pokonany przez obcych Minotaur zgodził się dobrowolnie na modyfikację swojego układu oddechowego i przystosowanie do podwodnego życia. W zamian za to wynegocjował jeden przywilej. Choć w dalszym ciągu nie może uciec, potrafi jednak wypłynąć na powierzchnię. Szaleje wówczas z gniewu na swoich ptasich pogromców i bezlitośnie zatapia wszystkie przepływające akurat w tej okolicy statki. Czy takie wyjaśnienie zagadki Trójkąta Bermudzkiego zostanie ogólnie zaakceptowane?

Ryszard wzruszył ramionami. Nie każda prawda jest miła i łatwa do przyjęcia. Zwykłym ludziom raczej trudno będzie pogodzić się ze świadomością, że Ziemia pełniła przez pewien czas funkcję międzygwiazdznego więzienia. Na szczęście większość skazańców dokonała już swojego żywota i tylko wiekowy, caaliański przestępca czekał dzisiejszych czasów. Schorowany, apatyczny mieszka w podziemnej grocie i tylko od czasu do czasu wychodzi na zewnątrz, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Coraz rzadziej więc człowiek ma okazję zobaczyć tak zwaną Nelly z Loch Ness.

Wiedza Ryszarda była porażająca. Dzięki jej sile mógł przenosić przysłowiowe góry. Potrafił nieodwracalnie zmienić oblicze świata. Mógł popchnąć ludzką cywilizację o wiele milowych kroków do przodu. Pozostawał tylko jeden problem – w jaki sposób miał to uczynić? Czy lepsza byłaby terapia szokowa? Wszystko o wszystkim od razu? Miał wywołać prawdziwą rewolucję w każdej dziedzinie życia codziennego? Mogłoby się okazać to zbyt ciężko strawne. Zdecydowana większość społeczeństwa ludzkiego cechowała się poglądami konserwatywnymi. Może więc lepszą metodą byłoby krok po kroku? Powinien stopniować rewelacje i kontrolować procesy przemiany, aby przebiegły łagodnie i płynnie? Tylko czy przy takiej taktyce wystarczy mu czasu na ujawnienie wszystkiego? Przecież tyle

tego było! Ludzkość błędziła w tak wielu kierunkach! Musiał ją nakierować na właściwe tory! Jak jednak miał to zrobić?

Po chwili na jego oblicze zmoczone ciągle padającym deszczem wpełzło szeroki uśmiech. Spokojnym, można by stwierdzić, że statecznym ruchem, strząsnął kilka zalewających mu oczy kropel i raźnie ruszył przed siebie. Już wiedział, co i w jakiej kolejności powinien zrobić. W końcu przecież wiedział wszystko.

Lato w dolinie mumii Inków

Włóczykij z westchnieniem otarł perlący się na czole pot. Jeśli by tego nie zrobił, kapelusz zjechałby mu na oczy, a nie lubił takich niespodzianek. Bez kapelusza się jednak nie dało – słońce prażyło zbyt mocno, aby lekkomyślnie zrezygnować z nakrycia głowy. Coś za coś – stwierdził filozoficznie w myślach, kontynuując marsz. Ciężkie, zakurzone glany chrzęściły na wysypanej grubym żwirem drodze, paski wojskowego plecaka nieprzyjemnie wrzynały się w barki.

– Ech! – westchnął ponownie Włóczykij i się rozmarzył, wracając myślami do dawnych czasów.

Kiedyś miał kij i zawiązany na jego końcu mały tobołek. Kiedyś wędrował, bo chciał. Teraz robił to, bo musiał, a ilość mieszczących się w tobołku rzeczy była zbyt mała, więc względy praktyczne zadecydowały o zamianie na znacznie pojemniejszy plecak. W tym przypadku pojemność wiązała się jednak nieodzownie z ciężarem, a to z kolei z trudami podróżowania. Przyjemność z pokonywanych kilometrów znikła, radość z włóczęgi przysła jak mydlana bańka.

Włóczykij czasami zżymał się na rolę tragarza, którą przyszło mu pełnić. W gruncie rzeczy wiedział jednak, że inaczej się nie da. A przynajmniej teraz, bo nie wiadomo, co jeszcze przyniesie przyszłość. Jeśli chciał przeżyć i jeśli przeżyć miały Muminki, co jakiś czas musiał odbyć specyficzną wędrowkę. I pomyśleć, że kiedyś pokonywał pagórki i doliny dla przyjemności, na lekkim haju spowodowanym wypalonym ziołem. Nikt go nie gonił, nigdzie się nie spieszył, po prostu był wolny. Sam o sobie lubił mówić, że jest luźnym podróżnym. To były czasy!

Ponaglenia Muminków do kolejnych wypraw stawały się coraz częstsze. Dawniej raz na kwartał opuszczał dolinę i wybierał się do odległego miasteczka. Sprzedawał odkryte przez Muminki skarby lub wymieniał je na niezbędne do funkcjonowania rodziny rzeczy. Wracał objuczony narzędziami, solą, mydłem i podpaskami dla panny Migotki. Raz na kwartał było w porządku. Raz na miesiąc męczyło jak cholera.

Kolejny raz otarł pot z czoła i poprawił kapelusz. Zbliżało się południe – okres największego skwaru. Będzie musiał znaleźć jakieś zacienione miejsce, aby przetrwać najtrudniejsze dwie–trzy godziny, inaczej padnie pod ciężarem plecaka i już nie wstanie. Południowoamerykańska dżungla potrafiła być bezlitosna dla nieostrożnych wędrowców. Po kilku minutach wypatrzył kępę bananowców. Rozłożyste gałęzie były oplecione przez liczne liany zwisające w formie zasłon do samej ziemi. Dawało to całkiem miłe schronienie przed prażącym słońcem.

Włóczykij nie zastanawiał się długo – skreślił ze żwirowej drogi i po chwili z westchnieniem ulgi zdjął plecak. Używając go jako podpory, ułożył się wygodnie na kępie gęstych paproci i z lubością rozprostował obolałe nogi. Jego wzrok padł na buty. Kiedyś glany były jego dumą i chlubą. Pastował je regularnie i pucował, aż błyszcząły jak psu jajca. Równie dużo uwagi poświęcał właściwej stylizacji fryzury. Był dumnym posiadaczem zielono-czerwonego irokeza. Całości ubioru dopełniała pełna agrafek skórzana kurtka. Dziś z wizerunku punka prawie nic nie zostało. Włóczykij nie miał ani czasu,

ani warunków, żeby dbać o włosy jak dawniej. Poza tym żel potrzebny do wymyślnego układania czuba był nieosiągalny, więc odpuścił sobie te zabiegi. W gorącym, wilgotnym klimacie nie mógł też chodzić w czarnej skórce. Z żalem pozbył się więc niepraktycznej części garderoby. Zostały tylko buty. Z nimi się nie rozstał, ale przestał je pastować i polerować. Po pierwsze nie miał ku temu odpowiednich środków, po drugie chęci. Sam przed sobą musiał przyznać, że odpuścił, że w wielu kwestiach zwyczajnie się poddał. Łudził się, że to stan przejściowy, że jeszcze kiedyś wszystko wróci na właściwe tory. Jak na razie zmian na lepsze nie było jednak widać, perspektywy na nie też widniały nikłe. Wszystko wskazywało na to, że zaczynające się właśnie lato spędzi tak, jak dwa poprzednie.

– Jak w kołowrotku... – stwierdził niewesoło. – Cholera! – skomentował niewybrednie koleje losu, które rzuciły jego, a także rodzinę Muminków do południowo-amerykańskiej dżungli.

A zaczęło się tak niewinnie – Finlandia otworzyła granice dla uchodźców z krajów muzułmańskich. Bliski Wschód był wrzącym kotłem nieustannych konfliktów etniczno-polityczno-religijnych. Chęć ucieczki z takiego miejsca i życia w spokoju wydawała się więc zrozumiała. Po fakcie jednak okazało się, że do Finlandii przybyli też uchodźcy innego rodzaju – ekonomiczni. Łasi na profity polityki socjalnej, leniwi, w dupie mający przestrzeganie innych niż własne norm społecznych. Śniade, brodate byczki uważały, że wszystko im się należy w ramach haraczu od niewiernych. Kiedy znacząco wzrosła ich liczebność, kiedy poczuli się silni i bezkarni, zaczął się nieprzyjemny okres dla Muminków i Włóczykija. Byli po prostu prześladowani. Włóczykij kilka razy w obronie panny Migotki musiał spuścić komuś łomot, sam kilka razy także dostał oklep. Cóż, siła złego na jednego. Jego podróżny kij został złamany, ziolo z tobołka spalone, choć nie w taki sposób, w jaki powinno. Zalew obyczajowego barbarzyństwa pchnął Muminki do podjęcia dramatycznej decyzji. Rodzina z nieskrywanym żalem opuściła ojczysty kraj i udała się na emigrację, a Włóczykij podążył za nimi.

Pierwszym przystankiem w ich długiej podróży była Polska. Kraj wolny od radykalnych muzułmanów, od lat kojarzący się z wolnością słowa jawił się jako ostoja, bezpieczny azyl. Nie był nim. Muminki ugrzęzły w biurokracji związanej z uzyskaniem pozwolenia na cokolwiek: na pobyt, na zameldowanie, na zatrudnienie. Włóczykij odniósł wrażenie, że w Polsce trzeba mieć pozwolenie nawet na oddychanie. Zamiast muzułmanów na miejscu były mohery. W chrześcijańskiej religii również radyklane jak ich bliskowschodni odpowiednicy.

A byliście ochrzczeni? A macie świadectwo chrztu? A kiedy byliście ostatni raz u spowiedzi? A kiedy pójdziecie następnym razem? Zalew takich pytań dawało się jeszcze jakoś znieść. Problemy zaczęły się, gdy któryś z moherów stwierdził, że pannie Migotce nie przystoi zadawać się z szemranym kawalerem bez przyszłości. Nie powinna się spotykać z kimś przegranym, kimś, kto nie jest w stanie stworzyć normalnej, katolickiej rodziny. Przegranym kawalerem bez przyszłości był zaś... Włóczykij.

W dupie miał takie opinie. Kiedy babcie w specyficznych okryciach głowy zaczęły go szykanować, zwyczajnie je olał. Potem jednak szykany dotknęły pannę Migotkę, a wtedy wkurzył się nie na żarty. Poszedł do kościoła na niedzielną mszę, odebrał księdzu mikrofon i głośno powiedział, co myśli o takim postępowaniu. Wtedy dopiero zrobiła się afera. Normalnie jakby wsadził kij w mrowisko. Urzędowe sprawy związane z pobytem w Polsce utknęły w miejscu, Muminkom i jemu odmawiano wstępu do sklepów, obrzucano pomidorami i zbukami. Rzekoma oaza wolności okazała się prażana i zaściankowa, a tolerancji było w niej tyle, co kot napłakał. Zapadła więc decyzja o wyjeździe z Polski. Włóczykij trochę żałował zerwania kontaktów z dopiero co poznanymi polskimi punkami. Ci akurat okazali się w porządku i mieli na mohery wywalone. Znali się na dobrej muzyce i wiedzieli, jak się pali ziolo. Cóż

jednak mógł zrobić? Z rodziną Muminków związany był od zawsze, nie wyobrażał sobie, aby się od niej oddzielić.

Leżąc w cieniu bananowca, Włóczykij wachlował się leniwie kapeluszem i błędził myślami w przeszłości. Drugim przystankiem w przymusowej podróży okazał się Izrael. Miał w kwestii wyboru celu sporo obiekcji, ale został przegłosowany. Później się okazało, że to jednak on miał rację. Z wjazdem do kraju nie było problemów. Biurokracja wydawała się w miarę znośna, znów jednak solą w oku okazali się ludzie.

Tego nie wolno jeść, bo to niekoszerne. Żadnych irokezów, co najwyżej pejsy. Wstąpił do armii – to zaszczepny obowiązek każdego mieszkańca tego kraju. Co rusz jakiś zamachowiec samobójca wysadzał się w powietrze, nocami słyszeli głucho dudnienie artyleryjskiego ostrzału Wzgórz Golan. Tu też nie dało się normalnie żyć.

Tym razem Włóczykij nie żałował wyjazdu, cieszył się, że epizod w Izraelu okazał się stosunkowo krótki. Podczas całego pobytu w tym kraju nie spotkał nawet jednego punka. Poza tym jego odmienny wygląd i społeczna postawa sprawiły, że przydzielono mu obserwatorów. Byli to pracownicy Biura Ustawicznej Kontroli Aspołecznych. BUKA łąziła za nim krok w krok gotowa do interwencji pod byle pretekstem. Włóczykij wiedział, że nie mógł liczyć na łagodne pouczenie. BUKA słynęła z agresji w działaniach, a ci, którzy jej podpadli, boleśnie odczuwali to na własnej skórze.

Krótko przed podjęciem decyzji o wyborze kolejnego miejsca ich wygnania panna Migotka nawiązała kontakt z krasnoludkami. Zgraja kurdupłowatych wesołków również została zmuszona do emigracji, z tą różnicą, że głównie zarobkowej. Jeden z nich pochwalił się na Facebooku, że dotarli do Kolumbii i że zaczynają pracę na kontrakcie przy zbiorze jakichś roślin. Podobno była to kawa, ale Włóczykij podejrzewał, że prędzej chodziło o kokę. W każdym razie kraj daleki, bez mużułmanów, bez moherów, bez Żydów i z minimalnymi formalnościami biurokratycznymi jawił się jako coś naprawdę spokojnego i wartego sprawdzenia. Decyzja więc zapadła – Muminki i Włóczykij wyruszyli do Kolumbii.

Na miejscu po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiechnęło się do nich szczęście. Bez większych trudności kupili pewną dolinę, która okazała się istną kopalnią skarbów. Weszli w posiadanie terenu, na którym wieki temu mieszkali Inkowie. Część ich bogatej spuścizny kulturowej przetrwała i stanowiła teraz źródło utrzymania rodziny i Włóczykija. To właśnie złote bransolety, rytualne sztylety lub tabliczki z pismem wymieniane były na bardziej przyziemne artykuły potrzebne do codziennego życia lub sprzedawane z niemałym zyskiem.

Najcenniejszym znaleziskiem okazały się jednak mumie. Dotychczas kojarzyły się historykom tylko ze starożytnym Egipcem. Dzięki dokonaniu przez pannę Migotkę odkryciu świat się dowiedział, że specyficznego rodzaju pochówek zmarłych nie ograniczał się wyłącznie do terenów północnej Afryki. Wybuchła sensacja archeologiczna, ale Muminki uprzednio zadbały o to, aby ich doliny nie zalały tysiące żądnych sławy odkrywców. Łącznie dwadzieścia dwa kilometry kwadratowe zakupionych przez nich włości ogrodzone zostało wysokim płotem z gęstą siatką kamer i czujników nacisku. Teren był patrolowany przez uzbrojonych wartowników i wyszkolone psy. Nikt obcy nie mógł przedostać się do środka, by wykraść specyficzne skarby.

Panna Migotka stała się niekwestionowaną ekspertką w temacie indiańskich mumii. Publikowała w internecie obszerne prace naukowe, ilustrując je mnóstwem zdjęć. Stała się międzynarodową sławą

w świecie archeologii. Błyskawicznie zrobiła doktorat, powoli kończyła procedury habilitacyjne, wróżyła jej tytuł profesora najpóźniej za dwa lata.

Włóczyki z jednej strony cieszył się z sukcesu przyjaciółki. Przyjemnie było patrzeć, jak z pasją odkurza kolejną mumię, a jej i tak już wielkie oczy rozszerzają się jeszcze bardziej w zachwycie nad specyficznym eksponatem. Z drugiej strony ów sukces zabrał mu przyjaciółkę. Nie miała już dla niego czasu – spędzała go głównie przed laptopem przy pisaniu kolejnej pracy naukowej lub jako uczestniczka archeologicznych telekonferencji. Z tego powodu było mu trochę przykro. Niczego jednak nie zmieniał w tym układzie. Nie chciał się narzucać. Wiedział, że czasy się zmieniły i że powrotu do beztroskiego okresu w ojczystej Finlandii już nie ma. Musiał stawić czoła nowym wyzwaniom. I stawał, choć bez irokeza, bez czarnej kurtki ze skóry, w zakurzonych gładach.

– Ech! – westchnął, gramoląc się spod bananowca.

Dwie godziny odpoczynku minęły szybko, skwar zelżał, trzeba było ruszać w dalszą drogę. Zarzucił plecak na bolące barki i dociągnął paski, aby ciężki bagaż nie kołysał się na boki przy każdym kroku.

Pod wieczór dotarł do celu. Był zmęczony, spocony i brudny, ale ogólnie zadowolony. Miał w perspektywie pozbycie się ciężaru z pleców, kąpiel i kolację. Psy zwęszyły go z daleka. Najpierw usłyszał głośne i groźne ujadanie, potem jednak, gdy został rozpoznany, szczekanie stało się radosne. W pierwszej kolejności przywitał się ze strażnikami. Potem zaś dopadła go gromada czworonogów. Wśród nich wyróżniła się jedna czarna suka. Cieszyła się równie mocno, choć nie skakała tak wysoko jak inne psy. Przeszkadzał jej wielki brzuch – miała się oszczenić za mniej więcej tydzień. Włóczyki podrapał ją za uchem i powiedział:

– Mam dla ciebie torbę suchej karmy. Zadowolona?

Suka szczeknęła radośnie, jakby rozumiała, co do niej mówi. Włóczyki ruszył w stronę swojego baraku.

– Chodź, Buka! – zawołał do psa. – Czas na kolację.

Następnego dnia skończyła się kalendarzowa wiosna, rozpoczęło się lato. Dla Włóczykija było to trzecie lato w dolinie mumii Inków.

Wigilia misiów

W Wigilię Uszatek wstał wcześniej rano. Nie musiał, bo większość praco- i czasochłonnych przygotowań do świątecznej kolacji miał już za sobą. Mimo to nie mógł spać. Wiercił się w łóżku, przewracał z boku na bok, ugniatał poduszkę na najróżniejsze sposoby – niczego to nie zmieniło. Miś stwierdził, że dalsza walka choć o godzinę snu jest równie skuteczna jak walka z wiatrakami i dał sobie spokój. Wstał z łóżka, pościelił je, ubrał się, po czym zasiadł do śniadania. Nie szykował sobie zbyt dużo. Z założenia posiłek miał być skromny, bo w perspektywie była obfita, dwunastodaniowa wieczerza. Poza tym miał świadomość, że nie tylko wieczorem podje sobie za wszystkie czasy, lecz także do tego czasu też co nieco przekąsi. Znał siebie i wiedział, że zasługiwał na miano łakomczucha. Był świadomy, że kończąc szykowanie różnych potraw, tej i owej nieco skosztuje. Smarując sobie kromkę chleba paprykarzem szczecińskim, Uszatek mimowolnie uśmiechnął się na myśl, że ze stu dwudziestu pierogów z kapustą i grzybami ulepionych wczoraj wieczorem pierwszej gwiazdki doczeka tylko setka. A przecież trzeba będzie jeszcze dokroić cebulki do porządnie wymoczonych śledzi i doprawić cukrem makielki.

Brzuch będzie dziś pełny i to nie jeden raz – pomyślał Uszatek, drapiąc się po klapniętym uszku.

Śniadanie skończył szybko, talerzyk i kubek włożył do zmywarki, umył zęby w łazience. Nim minęła siódma rano, był gotów stawić czoła kolejnym wyzwaniom związanym ze świąteczną kolacją. Uznał, że zacznie od rozpalenia ogniska w ogrodowej wędzarni. Nie planował wędlin na wigilijnym stole, ale w pierwszy dzień świąt nie dało się bez nich obejść. Uwędzi zapiekowane wcześniej szynki, schaby i poledwice, po czym odwiesi je na specjalnie w tym celu przyszykowanym drążku w spiżarce. Wędzenie to proces długotrwały, ale nie wymagał jego stałej uwagi. Mógł w jego trakcie wykonywać inne rzeczy i tylko od czasu do czasu dokładać dREW do ognia czy regulować temperaturę w wędzarce. Wytoczył z szopy wózek z polanami pociętymi latem z wiśniowego drzewa, ułożył z nich zgrabny stosik, skrzesał ogień. Niedługo potem zawiesił mięsivo na hakach w beczce i nakrył wędzarkę jutowym workiem.

Pięknie! – westchnął w duchu zadowolony z efektów wczesnoporannej pracy. Na jutro będzie pyszna szyneczka!

Wrócił do domu i wziął się za odkurzanie. Odkurzacz miał stary i głośny, dopóki jednak działał, nie zamierzał kupować nowego. Aby nie czuć spowodowanego hałasem bólu głowy, miś wyrobił sobie nawyk sprzątania w nausznikach. Wodził więc szcztoką podłączoną do ssącej rury w tę i z powrotem we względnym komforcie, a jego myśli błądziły wokół czekającej go kolacji.

Musiał sam przed sobą przyznać, że wypełniające go odczucia zasługiwały na miano ambiwalentnych. Z jednej strony cieszył się. Na co dzień mieszkał sam. Jego rodzina rozrzucona została kapryсами losu po najróżniejszych zakątkach świata. Kontakt z kuzynami siłą rzeczy był więc mocno ograniczony. Możliwość ich osobistego spotkania należała niewątpliwie do głównej atrakcji tego

wieczoru. Będzie miał komu uściskać łapy i kogo serdecznie poklepać po plecach. Znów popłyną plotki o znajomych i przechwałki o dokonaniach własnych lub swoich dzieci. Cicha na co dzień chata Uszatka na jeden wieczór zmieni się w gwarne centrum towarzyskie. To było naprawdę miłe i miś nie mógł się doczekać chwili, gdy przy drzwiach zabrzmiał dzwonek zwiastujący przybycie pierwszego z gości.

Uszatek skończył odkurzać sypialnię i niewielką garderobę, przeciągnął odkurzacza do salonu. Przez okno widział, że z wędzarki chwiejnymi nitkami unosi się siwy dym. Nie musiał zatem jak na razie przerywać sprzątaniam, dołoży wiśniowych drewn później. Odkurzał więc salon z odświeżeniem udekorowanym stołem. Kiedy zbliżył się do choinki, z lubością wciągnął nosem jej aromat. Być może było to złudzenie, ale odnosił wrażenie, że tegoroczny świerk pachniał zdecydowanie mocniej od tych z poprzednich lat. Na widok starannie zapakowanych prezentów leżących pod zielonymi gałęziami na obliczu misia pojawił się szeroki uśmiech. Od kilku lat miał z kuzynami umowę, że kluczem do wyboru podarunków była ich dowcipność. Żadnych tam nowych skarpet czy krawatów, żadnych kubków do kawy czy breloczków do kluczy. Prezenty miały być z jajem i koniec! Uszatek uważał, że miny otwierających pakunki i towarzyszące im rechoty pozostałych znaczyły w tym wszystkim więcej niż zawartość owych pakunków. To również była wielka atrakcja Wigilii. Jej także nie mógł się doczekać. Poza tym miał dystans do siebie i nie obrażał się nawet w takich sytuacjach jak ta z zeszłego roku, gdy w prezencie otrzymał hełm wikinga, którego jeden z rogów był... klapnięty. Śmiał się wówczas równie głośno jak pozostali goście.

Sprzątanie podłóg chatki dobiegło końca. Miś ulokował odkurzacza w schowku pod schodami, narzucił na ramiona bluzę z polaru i wyszedł z domu. Wędzarka dymiła słabo, więc podrzucił trochę nowego opału. Nieliczne i leniwe dotąd płomyki nabrały animuszu i z większą werwą zaatakowały drewno. Zadymiło mocniej. Uszatek uniósł jutowy worek i zajął się beczką.

– Ależ będzie piękny schabik! – mruknął zadowolony z widoku.

Opuścił worek na miejsce i wrócił do domu. Tempo wędzenia było dobre, ale przecież nie wszystko zostało jeszcze przygotowane. Nucąc pod nosem *Last Christmas*, poskładał serwetki, porozkładał sztucze, pod wigilijny obrus w jednym rogu wepchnął trochę słomy. Gdzieś w tyle głowy mu się kołatało, że powinno to być siano. Siana nie miał, słomę zaś tak – od zawsze wystawała mu z butów. Do wtóru *All I want for Christmas is you* doprawił kompot z suszu. W zeszłym roku biesiadnicy narzekali, że był słaby, więc tym razem nie wahał się i połowę wody zastąpił dziewięćdziesięciopięcioprocentowym spirytusem rektyfikowanym wyprodukowanym przez Polmos Wrocław. Tym razem nikt nie powinien mieć zastrzeżeń. Na próbę wypił pełną chochelkę i uznał, że kompot ma moc. Tegoroczna Wigilia zapowiadała się wesoło.

Na ogólnie radosny nastrój misia kładły się jednak cieniem pewne wspomnienia. To nie były pierwsze święta, które organizował dla rodziny i trochę związanych z tym doświadczeń zdążył już w życiu zdobyć. Niestety ku jego wielkiemu rozżaleniu nie wszyscy członkowie misiowej rodziny cechowali się kulturą. Część zasługiwała na miano gburów, część była chamami albo w najłagodniejszej opinii dziwakami. Nie mógł sobie jednak pozwolić, aby pominąć ich w zaproszeniach. Wychodził z założenia, że rodzina to całość i nie będzie spójna, jeżeli jej członków potraktuje się wybiórczo. Zmierzy się z kilkoma specyficznymi kuzynami. Choć taka perspektywa mu się nie uśmiechała, niespecjalnie miał inne wyjście.

Na obliczu Uszatka zagościł cień. Jego źródłem było wspomnienie Wigilii sprzed dwóch lat. Mieszkający na stałe we Francji miś Coralgol przyznał wówczas przed całą rodziną, że jest gejem.

Wsadził tym wyznaniem kij w mrowisko. Ależ się wtedy wywiązała pyskówka! Połowa Gumisiów szydziła z orientacji seksualnej kuzyna, druga połowa broniła go, chwając za odwagę, że się przyznał.

Uszatek nie miał zdania w tej kwestii. Z jednej strony mierzyła go myśl o zbliżeniu z facetem, z drugiej – lubił Coralgola. Francuski miś wyglądał jak pedzio, więc bycie pedziem w jego wykonaniu zbytnio nie zaskakiwało. Dopóki Coralgol nie zarywał go osobiście, Uszatek mógł go tolerować. Miał świadomość, że duża część owej tolerancji wynikała z przywożonych przez kuzyna win. Na winach zaś Coralgol znał się wyjątkowo dobrze. Stawiane przez niego na wigilijnym stole trunki na długo zostawały w pamięci kosztujących. Rok temu ich zabrakło – kuzyn nie przyjechał na święta, bo był w podróży poślubnej. Dziś miał się pojawić z mężem. Uszatek nie nastawiał się negatywnie, ale komfortowo w obliczu tej perspektywy także się nie czuł.

– Jakoś to będzie – stwierdził filozoficznie i poszedł sprawdzić wędzarkę.

Dymiała, jak należy, mięsiwa przybierały coraz bardziej apetyczne barwy, wszystko było w porządku.

– Ależ będę miał pyszną polędwiczkę! – mruknął z ukontentowaniem miś.

Dołożył jeszcze jedno wiśniowe polano i wrócił do domu. Wziął się za smażenie karpi. Kiedy pierwsze dzwonka zaskwierczały na rozgrzanym oleju, misiowi przypomniała się scena z Puchatkim w roli głównej. Za tym kuzynem też nie przepadał. Mało rozgarnięty, kurdupłowaty tłuszczoch przez pół godziny dławił się ością, która wbiła mu się w podniebienie. Krztusił się i prychał tak długo, aż się porzygał. Dalsza część Wigilii toczyła się w kwaśnej atmosferze.

– Ech, rodzinka! – westchnął Uszatek. – Jej się nie wybiera..

Krótko przed zapadnięciem zmroku wszystko było gotowe. Uszatek wygasił ogień w wędzarence i z pięknie wyglądającym mięsiwem udał się do spizarki. Tam zaparzył je, po czym powiesił na specjalnie w tym celu zamontowanym drążku. Po całym domu rozszedł się miły dla nosa aromat. Miś nie mógł się napatrzyć na efekty wędzenia.

– Mam piękną szyneczkę – mruczał zadowolony. – Mam piękny schabik i polędwiczkę! Ależ będzie wyzerka!

Wigilia przebiegła zaskakująco gładko. Nie było awantur, mąż Coralgola okazał się w porządku, prezenty z kolei okazały się jajcarskie i ogólnie panowała miła atmosfera. Jeden Gumiś miał biegunkę i dzięki temu zyskał przydomek Gówniś. Poza tym obyło się bez zgrzytów. Po zestawie francuskich win w ruch poszedł rektyfikowany kompot z suszu. Humory zauważalnie się poprawiły, głośność prowadzonych rozmów wzrosła. Wigilijny wieczór przeszedł w noc.

Krótko po północy Uszatek uznał, że nie ma już potrzeby pilnowania zwyczajowego postu. Postukał widelcem w szklanę i kiedy przykuł uwagę rodziny, oznajmił:

– Czas na wielki kulinarny popis! Za moment skosztujecie wyrobów wędliniarskich mojego autorstwa.

Po chwili nieobecności wrócił do salonu, niosąc wielką dechę, a na niej mięsiwa.

– Oto długo i starannie peklowane oraz długo i starannie wędzone dymem z wiśniowego drewna: szynka, schab i polędwica wieprzowa.

Rodzina misiów z zadowoleniem smakowała wyroby, chwając je za niezrównany smak, aromat i kruchość. W trakcie degustacji rozmowa zesłała na nielubianych sąsiadów i znajomych. Każdy takich

miął i każdy, przynajmniej czasami, lubił na nich popsioczyć. Nawalony jak stodoła po żniwach Puchatek w pewnym momencie czknął i bełkotliwym głosem oznajmił:

– A ja ze wszystkich moich znajomych najbardziej nie lubię Prosiaczka.

Uszatek spojrział na niego lekko zaszklonym wzrokiem, wzruszył ramionami i powiedział:

– To go nie jedz!

Cieźki poranek

Gwałtowne czknięcie wyrwało Gandalfa z pijackiego snu. Mimo że świat wirowała dookoła w szybkim tempie, czarodziej postanowił wstać. Wstał ze stęknieniem i wyprostował bolące plecy. To był błąd, bo ciemieniem wyróżnął w coś twardego. Aż usiadł z przejmującego bólu. Rozcierając szybko rosnący guz, spojrział w górę i ze zdziwieniem skonstatował, że uderzył się o sufit.

Dlaczego sufit jest tak nisko? – zadał sobie w myślach pytanie. Po chwili w bolącej głowie pojawiło się kolejne: – Czyżbym po pijaku eksperymentował z przedłużaczem?

Mianem przedłużacza określał zaklęcie, które powiększało pożądane części ciała. Pracę nad nim zaczęła dawno temu i choć miał na koncie wiele lat prób, ostatecznie nie udało mu się sprecyzować właściwej formuły. Mimo niemałego doświadczenia cały czas coś mu umykało, czegoś nie dopełniał. Spojrział na swoją odzież i doszedł do wniosku, że wczorajszego wieczoru jednak nie bawił się magią. Zaklęcie, które spowodowałyby zmianę proporcji ciała, nie działało na elementy garderoby. Jeśli mimowolnie udałoby mu się je poprawnie rzucić, spodnie automatycznie stałyby się krótkimi spodenkami, podobnie kuse okazałyby się rękawy koszuli. Z jego ubraniem wszystko było w porządku.

– A niech to! – westchnął Gandalf zawiedziony odkryciem, bo tym samym spełnienie jego erotycznych fantazji musiało znów zaczekać.

Pracami nad przedłużaczem zajął się po spotkaniu z pewną czarownicą. Przypadli sobie do gustu, ale nie mogli skonsumentować związku mimo obopólnych chęci. Korzystanie na co dzień z magii niosło ze sobą działania niepożądane. Jeden ze skutków ubocznych to zmiany w narządach płciowych. U czarownicy rosły, u czarodzieja malały. W efekcie przy próbie zbliżenia okazało się, że magicznie uzdolniona para jest ze sobą niekompatybilna. Nie pasowali do siebie i już! Nic z cielesnej miłości nie wyszło, ale Gandalf postanowił, że coś z tym zrobi. Mimo tysiąca prób wciąż nie udało mu się stworzyć formuły powiększającej przyrodzenie.

– Szkoda! – westchnął jeszcze smutniej.

Przez chwilę zastanawiał się nad następnym ruchem. Coś miał zrobić, ale zapomniał co. Świat dookoła nieznacznie zwolnił tempo wirowania, nieznośna suchość w ustach nie chciała jednak ustąpić. Gandalf stwierdził, że musi się napić, bo inaczej zwariuje. Podniósł się po raz drugi, tym razem znacznie ostrożniej. Zakładał, że skoro był w jakimś domu, to gdzieś w pobliżu musiała znajdować się kuchnia.

Szukając płynu, którym zgasiłby pragnienie, czarodziej rozglądał się dookoła. W pewnym momencie olśniło go i stwierdził, że jest w domu hobbita – to dlatego sufit był tak nisko. Zagadka dysproporcji wielkości jego ciała i małych rozmiarów pomieszczenia została wyjaśniona w najprostszy z możliwych sposobów. Do skacowanego czarodzieja docierało więcej szczegółów, które tworzyły coraz pełniejszą układankę. Impreza była w Shire, w chacie Frodo Bagginsa. Świętowali ostatecznie zwycięstwo nad ciemnymi mocami. Pierścień władzy został zniszczony, Sauron pękł z wściekłości,

a niedobitki orków zamierzały zaprzestać działań wojennych i ustalić korzystne warunki pokoju. Dziś miały zacząć się negocjacje w tych kwestiach.

– Oj, nie będą one łatwe – stwierdził Gandalf, człapiąc na chwiejnych nogach w stronę kuchni.

Kac z pewnością okaże się czynnikiem, który przyspieszy ich zakończenie. Komu by się chciało głądzić bez końca i dzielić włos na czworo, gdy łeb napieprzał jak po uderzeniu kowalskim młotem? Gandalf uznał, że nie pora na roztrząsanie zależności długości obrad od natężenia kaca obradujących. Niewątpliwie jakaś istniała i na chwilę obecną taki wniosek całkowicie go satysfakcjonował. W najbliższej przyszłości nie zamierzał go precyzować. Miał obecnie ważniejszą rzecz na głowie – musiał się napić. Znalazienie wody było najwyższym priorytetem w jego aktualnych działaniach.

Z nieskrywanym westchnieniem ulgi dotarł wreszcie do kuchni, a tam ujrzał stojącą na stole najcenniejszą rzecz na świecie – karafkę z przezroczystym płynem. Chciwie przyssał się do szyjki naczyń i wytrąbił całą zawartość na raz.

– Uff! – westchnął, gdy odlepił wreszcie język od podniebienia.

Woda podziałała orzeźwiająco. Świat prawie przestał wirować, ustąpiła chwiejność nóg, wzrok czarodzieja się wyostrzył, a oczy przestały być zaszkłone. Gandalf czuł, że choć trochę wrócił mu siły, mocno nadwątlone imprezą. Przejrzał się w lustrze wiszącym na ścianie. Ujrzał podkrążone oczy, pomarszczoną i zmęczoną twarz, jego na co dzień blada cera tego ranka miała ziemisty wręcz odcień.

– Niby jestem Biały, a teraz znów w pełni zasługuję na miano Gandalfa Szarego – stwierdził niewesoło. – Starość nie radość.

Pod stołem w kuchni coś zachrobotało i zamlaskało. Zaciekawiony czarodziej zająrzył pod blat i ujrzał śpiącego w najlepsze krasnoluda. Oblicze maga wykrzywił grymas niechęci. Gandalf nie przepadał za tym krępym i pokracznym w jego mniemaniu ludem. Mierzyła go rubaszność i grubiaństwo jego przedstawicieli. Cenił ich oczywiście za odwagę i waleczność, ale – prawdę mówiąc – nic poza tym. Ich rechoty, żłapanie gorzałki prosto z gąsiorów i głośne puszczanie wiatrów w towarzystwie mocno psuły obraz bohaterskich wojowników. Kurduple chwaliły się tysiącletnią kulturą własnej cywilizacji, a słowa z butów wystawała wszystkim bez wyjątku.

Poza tym Gandalf sam przed sobą przyznawał, że krasnoludy po pierwsze są brzydkie, po drugie – wszystkie takie same. Każdy miał długie i skołtunione włosy oraz brodę, z kobietami tej rasy włącznie. Czarodziej po prostu ich nie odróżniał. Wzruszył ramionami, ponieważ niczego nie mógł na to poradzić.

– Ty jesteś pewnie Sralin, syn Pierdlina – mruknął zgryźliwie pod adresem śpiącego.

Krasnolud pierdnął, jakby na potwierdzenie słuszności domysłu dotyczącego jego rodowodu i nie budząc się, przekręcił się na drugi bok.

– Nie ma to jak kulturalna pogawędka. – Skrzywił się Gandalf. Był unaocznieniem ludowej mądrości, według której skacowany czarodziej to zły czarodziej.

Wyszedł z kuchni i ruszył w stronę przedpokoju. Zamierzał opuścić duszne wnętrze i zaczerpnąć świeżego powietrza. To dobrze robiło na polibacyjne kiepskie samopoczucie. Chłód jesiennego poranka również mógł przyczynić się do poprawy nastroju. W drodze ku wyjściu Gandalf mijali kolejnych śpiących imprezowiczów. Frodo leżał przytulony do Sama, Aragorn przytulał Legolasa.

– Pedaly. Same pedaly – burknął zdeglustowany czarodziej.

W przedpokoju stał rower.

– Wszędzie pedaly!

Wreszcie wyszedł na zewnątrz. Z ulgą wziął głęboki haust zimnego powietrza, wypuścił je i z lubością powtórzył tę czynność. Świat ostatecznie przestał wirować, ból głowy zelżał.

Chyba jakoś wytrzymam te negocjacje pokojowe z orkami – pomyślał w niespodziewanym przyplwywie optymizmu. Może jakiś spacer? Poprawi mi się krążenie, resztki alkoholu szybciej się przetrawią. To chyba dobry pomysł.

Postanowił więc wcielić go w życie. Niestety skończyło się na pierwszym kroku. Nie patrzył pod nogi, nie zauważył więc leżącej na ziemi przeszkody, zawadził o nią i wyłożył się jak długi.

– Och, na zgniłe jaja Sarumana! – zaklął rozłoszczony czarodziej. – Co tu się wyprawia?

Rozejrzał się i osłupiał. Dookoła pokotem leżały ciała około dwudziestu orków. Ktoś je skutecznie pochłastał. Kałuże krwi były już stężałe, więc masakra musiała mieć miejsce w nocy. Gandalf patrzył oniemiały na rozszczepione czerepy, rozprute brzuchy i ucięte na różnych wysokościach kończyny. Jego wzrok padł na białą niegdyś, a obecnie uwalaną posoką płachtę.

– O w mordę! – zakrzyknął, gdy dotarły do niego implikacje tego, co zobaczył.

To była delegacja orków, która miała uzgodnić warunki zawieszenia broni i ostatecznego zaprzestania dalszych walk. Według ustaleń oddział miał przybyć dziś przed południem. Najwyraźniej przyszli wcześniej, w nocy i ktoś ich poszatkował co do jednego.

– No, to negocjacje chuj strzelił – westchnął czarodziej.

Rodzaj zadanych orkom ran jednoznacznie wskazywał, że w użyciu był miecz. Z pewnością nie chodziło o krótką szpilkę, którą posługiwali się hobbici. Delegatów pochłastał kawał porządnego, długiego żelaza. Takiego, które można trzymać oburącz. Gandalf bez trudu się domyślił, kto odpowiadał za tę jatkę. Stanął w drzwiach domu niziołka, z ciężkim westchnieniem przekroczył próg i wrzasnął:

– Aragornie! – Po czym wyszedł, bo ducha wewnątrz i gęste opary alkoholu aż go zatchnęły.

Zbudzony krzykiem mężczyzna podniósł głowę i nie widząc sprawcy hałasu, rozejrzał się dookoła przekrwionymi oczami.

– O cso chozi? – zapytał niewyraźnie.

– Podejdz, mój drogi, do drzwi! – Gandalf, gdy chciał, potrafił być przekonujący.

Aragorn z kolei, choć wciąż mocno podchmielony, wiedział, że z upartym jak osioł czarodziejem nie warto dyskutować. Wstał i na chwiejnych nogach poczłapał ku drzwiom. Zatrzymał się w progu.

– I cso?

Gandalf wskazał ręką na posiekanych orków.

– Ty to zrobiłeś?

– No. – Zapytany był kwintesencją lakoniczności.

– Ale dlaczego?

– Frodo mi kazał.

– Frodo ci kazał?

– No.

Czarodziej przewrócił oczami i ponownie wszedł do domu.

– Baggins! – zakrzyknął.

Okazało się jednak, że bezskutecznie.

– Frodo Baggins! – Podniósł głos jeszcze bardziej, ale to również nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

Hobbit zalał się w pestkę i chwilowo wydobycie z niego jakiegokolwiek informacji nie wchodziło w rachubę. Tym samym czarodziej skazany był na nieco mniej pijanego imprezowicza.

Aragorn siedział na progu domu niziołka i opierał głowę o futrynę. Choć pozycja do wygodnych nie należała, najwyraźniej mu to nie przeszkadzało, bo właśnie zasypiał.

– Zbudź się, Aragornie! – warknął rozszonony Gandalf. – Dlaczego to zrobiłeś? – Wskazał ręką na truchła członków delegacji na pokojowe negocjacje.

Zapytany ocknął się i powiódł zaszklonym wzrokiem dookoła.

– Mam wrazenie, że ktoś się o to zisiaj pytał. Normalnie deża fiuf! Ale cso tam, tobie tesz mogę powiesić. Frodo mi kazał.

Gandalf zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Resztkami sił, licząc powoli do dziesięciu, spróbował się uspokoić.

– A wiesz, dlaczego kazał ci to zrobić?

– A wiesz, że wiem?

– Powiesz?

– No.

Tym razem Gandalf musiał policzyć aż do dwudziestu. W tym czasie wykonał sporo głębokich oddechów, a zaciśnięte na czarodziejskim kosturze palce zaczęły drżeć z wysiłku.

– Aragornie! – rzekł, gdy odzyskał panowanie nad głosem. – Powiedz mi, z łaski swojej, dlaczego Frodo kazał ci to zrobić.

– Bo go te gnoje nachodziły.

– Co takiego?

– No, mówię przesież. Nachodziły go i ciągle chciały z nim rozmawiać. Frodo miał po ziurki w nosie ich namolności. Poprosił mnie o pomoc, żeby ich przegonić. No, to przegoniłem!

– Ty ich nie przegoniłeś, Aragornie.

– Nie?

– Ty ich zabiłeś.

– Cóższ... – Mężczyzna niespecjalnie się przejął. – Najwyraźniej nie chcieli po dobroci.

Czarodziej z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie, to się nie dzieje naprawdę! – wykrzyczał, czując, jak ponownie tępy ból pulsuje mu w skroniach.

Aragorn zauważył konsternację przyjaciela. Nie rozumiał jej powodu, postanowił jednak pocieszyć Gandalfa.

– Nie martw się! – powiedział. – Zobaczysz, że jak Frodo wyszeźwieje, to mi poziękuje. Mówię ci, ucieszysz się, że już nigdy więcej nie będą go nachodzić świadkowie Jehowy.

Kronika

Środa, 14 marca

Którego dziś mamy? Ach... No tak! Przecież dopiero napisałem. Muszę się bardziej skupić na tym, co robię. A właściwie to co ja robię? Jestem... No właśnie! Kim jestem? Pisarzem? Chyba nie. Nie piszę przecież żadnych powieści. Wierszy zresztą również, więc bycie poetą odpada. Scenarzysta? Zdecydowanie nie! Międzygwiazdny statek to przecież nie studio filmowe. Sekretarz? No, może... Ale nie jestem do końca przekonany co do tego, że to właściwe określenie dla mojej profesji. Chyba najlepiej będzie, jak uznam siebie za kronikarza. Tak, nawet zdecydowanie tak!

Prowadzę właśnie zapiski z wyprawy międzygwiazdnej statku kolonizacyjnego Róża Wiatrów, zwanego przez złośliwców Rurą Puszczającą Wiatry. Skrajnie złośliwi mówią zaś po prostu, że lecimy Pierdzącą Dupą. Dokonuję dziś wpisu, gdyż od ostatniego minęło już... Zaraz, ile to właściwie minęło? Hmm... dziwnie! Nie ma żadnych poprzednich wpisów. No cóż... Niniejszym inauguruję kronikę kolonizacyjnego lotu z planety Gidirion na Chalcedon, naszą nową ojczyznę, zwaną przez prześmiewców ojszczyzną.

Ciekaw jestem, kiedy wpadłem na ten pomysł. Wydawało mi się, że robię to już od jakiegoś czasu, ale puste kartki mówią coś innego. W zasadzie nie mówią o tym, tylko milczą. Można w ogóle tak? Milczeć o czymś? Zresztą, co za różnica!

Na pierwszych stronach umieszczę wpisy dotyczące pamiętnego dnia, w którym zacząłem ją prowadzić. Czyli dziś. Którego w ogóle mamy? Aha, dobrze, że mam nagłówek. Może zagłówek? Nie jestem pewien. Już czternasty marca! Jak ten czas szybko leci! Nie, zaraz, zaraz, to my szybko lecimy, a czas biegnie. Hmm... Czy ktoś kiedyś widział biegnący czas? Co za niedorzeczność! No to co ten czas robi? Mija? Ale kogo lub co?

Coś mi nie idzie to pisanie. Chyba pora zakończyć tę nierówną walkę. W każdym razie, jakby ktoś pytał, to w dzisiaj, oprócz powstania niniejszej kroniki, nie wydarzyło się zupełnie nic.

Piątek, 16 marca

Znalazłem pod biurkiem plik podejrzanie wyglądających kartek. Przyjrzałem się im uważnie i odkryłem, że to fragment dziennika pokładowego. To, co mnie najbardziej zaskakuje, to fakt, iż napisany jest moją ręką. Dotyczy szeregu dziwnych wydarzeń mających miejsce podczas lotu kolonizacyjnego z Gidiriona na Chalcedon. Nic z tych zapisków nie wydaje mi się choć trochę znajome. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Pętla czasowa? Raczej nie... Od ostatniej minął zaledwie miesiąc i przez dwa następne powinniśmy mieć spokój. Może znowu, tak jak w zeszłym tygodniu, zagięła się czasoprzestrzeń? To nawet prawdopodobne podczas lotu przez czarną dziurę. Tak przynajmniej twierdzi nasz kapitan, Eustachy Bąk. Ponoć zdobył wielkie doświadczenie w lataniu po dziurach, może niekoniecznie czarnych. W sumie fajny z niego gość, tylko ma denerwujący zwyczaj głośnego psucia powietrza. Nie żebym go z tego powodu dyskryminował, bo przecież każdemu się zdarzy, jednak natężenie dźwięku towarzyszące tej czynności w jego wykonaniu jest zdecydowanie za duże! Nawet jak na kapitańską rangę. No cóż... Każdy ma jakieś przywary, choć niektórzy złośliwi twierdzą, że przywry. Nie wiem póki co którzy, ale się dowiem! Obiecuję, że wytropię tę lożę szyderców siejącą na statku defetyzm.

Wracając do odnalezionych pod biurkiem kartek – problem wymaga niewątpliwie dalszych badań. W wolnej chwili skonsultuję się z naczelnym grafologiem statku, zwanym przez szyderców naczelnym grafomanem. Najbardziej wredne osoby twierdzą nawet, że kogoś takiego w ogóle na statku nie ma. Aż mi się w to nie chce wierzyć! Zastanawiam się jeszcze nad zrobieniem daktyloskopii. Uprzedzając pewne komentarze, podkreślam, że chodzi o daktylo-, nie rektoskopię. Mam na myśli wysoce specjalistyczną procedurę śledczą, a nie skopanie daktyli.

Czasami odnoszę wrażenie, że banda kpiących ze wszystkiego cyników zagląda mi przez ramię i na bieżąco czyta wszystko, co tylko zdążę napisać. Może dla utrudnienia im życia założę noktowizor i zacznę prowadzić kronikę po ciemku? Tylko dokąd mnie to wszystko doprowadzi? Zobaczmy... Z ciekawszych wydarzeń mijającego właśnie dnia mogę zanotować, że około południa coś grzmotnęło. Odgłos przypominał eksplozję zapasowych zbiorników tlenu, ewentualnie wybuch kompresorów tłoczących powietrze do systemów recyrkulacji. Po wnikliwym dochodzeniu okazało się jednak, że autorem grzmotu był Eustachy Bąk. Żartowniś, w dupę kopany! Wystraszył panią Jadzię z działu łączności do takiego stopnia, że się kobieta zacięła. Przy gołeniu. Nóg. Tak przynajmniej brzmi oficjalna wersja nekrologu. Tfu, cholera! Przepraszam najmocniej! Chodziło mi o oficjalną wersję raportu.

Odkleili mi się jeden tips. Może to od tego pisania? Chyba dziś zwiększę dawkę zielonych tabletek.

Sobota, 17 marca

Wypadek pani Jadzi z działu łączności uświadomił całej załodze, że stoimy w obliczu poważnego kryzysu związanego z brakiem podstawowych umiejętności udzielania pierwszej pomocy. Nasz pokładowy lekarz jest z pochodzenia Koreańczykiem i nazywa się Kun Kin Te. Przez złośliwców zwany jest zaś Kunta Kinte. Medyk przybył na miejsce wypadku dość szybko. Asystowała mu siostra Ryszarda, choć trudno powiedzieć, żeby jej pomoc była udana. Doktor poprosił o spirytus. Nie ma co się facetowi dziwić. Cały ten rwetes dookoła, tyle krwi... Sam miałem wówczas ochotę coś łyknąć. A ta niezdarza Ryśka wylała lekarzowi spirytus na rękę! Takie marnotrawstwo! Nasz Kunta Kinte, och, przepraszam, doktor Kun, wykazał się jednak niesamowitym opanowaniem. Zamiast skrzyczeć sierotę za niegospodarność w obszarze trunków, nawet mu oko nie drgnęło. Ratował ranną panią Jadzię z błyskiem w oczach, jak natchniony. W końcu to była kobieta z łączności.

Nie bardzo wiem, dlaczego panie z tego działu cieszą się specjalnymi względami. Tak już po prostu jest, to taka mała świecka tradycja. Być może dlatego, że znają się na klikaniu. Ti ti ti, ta ta ta, ti ta ta ti... Chyba rzeczywiście nie każdy potrafiłby to robić, nie gubiąc się.

Przy okazji starszy pielęgniarz Broniek poruszył kwestię dostępu do klucza do szafki z lekami psychotropowymi dla osób upośledzonych umysłowo. Zamierzał zostać jedynym jego posiadaczem. W wyniku dyskusji, która zaraz potem rozgorzała, klucz do wspomnianej szafki został Bronkowi odebrany. Trudno powiedzieć, jak starszy pielęgniarz się czuje. W milczeniu założył próżniowy skafander i opuścił nasz statek kilka godzin temu. Wszystko wskazuje na to, że na dobre. Można stwierdzić, że Broniek odleciał przez psychotropy, chociaż nie wiem, czy to czasem nie jest zbyt dwuznaczna gra słów.

Zauważyłem, że chyba coraz skuteczniej wdrażam się w sztukę kronikarstwa. Wyraźnie lepiej idzie mi to pisanie. Jutro sprawdzę, czy równie dobrze pójdzie z czytaniem. Podobno te dwie rzeczy chodzą ze sobą w parze. Nie jestem przekonany. Pożyjemy, zobaczymy...

Niedziela, 18 marca

Dziś dzień wolny od lotu, choć łośliwcy twierdzą, że to właśnie dziś mamy zupełny odlot. Raz w tygodniu kapitan Eustachy Bąk wydaje rozkaz zatrzymania atomowych silników naszego statku. Nie będę komentował odgłosów, jakie wydaje przy tym innym otworem ciała. Swoją drogą... Zadziwiająca zbieżność czynności z nazwiskiem wykonawcy.

W każdym razie dziś nie lecimy. Silniki nie pracują, nie ma więc grawitacji. Wszystko wewnątrz Róży Wiatrów unosi się nieważkie w powolnym, statycznym tańcu. Gdybym nie przywiązał się do stołu, też bym tak robił. Jednak nie ma, że boli, obowiązki kronikarskie ponad wszystko! Ktoś mi mówił, że dawno, dawno temu, był pewien pan, który też coś stawiał ponad wszystko. A potem wywołał ponoć wielką wojnę. Dziwna bajka. Zresztą większość bajek jest dziwna. Chociażby taka o Kopciuszku, który zgubił pantofelek. Przecież to kompletna bzdura, żeby chodzić w pantofelku. To takie małe, mikroskopijne żyjątko... Gdzie tu w coś takiego stopę wpychać? Na przestrzeni wieków, podczas przekazywania sobie opowieści z ust do ust, powstają najróżniejsze przekłamania i deformacje. Dziś nawet małe dziecko wie, że w tej historii nie chodziło o Kopciuszka, który zgubił pantofelek, tylko o Kościuszkę, który zgubił pantaloncy.

No dobra, starczy tych dygresji. W przeciwnym razie moja kronika zamieni się w jakąś dysertację. Dziś niedziela, więc nie lecimy. Chyba już to gdzieś napisałem. Trudno. Jutro wznowimy to, co dziś przerwaliśmy. Chalcedon się przybliży, Gidirion oddali. Tak mniej więcej i na trochę. Nie podaję współrzędnych, bo to nie miejsce i pora na zawracanie sobie głowy takimi szczegółami. Lecimy stąd tam, więc jak tu się można zgubić?

Idę po zieloną tabletkę. Tylko czy trafię?

Wtorek, 20 marca

Dziś mija tysiąc sto cztertnasty dzień lotu. Już ponad trzy lata kierujemy się ku naszej nowej ojczyźnie. Róża Wiatrów niesie nas wytrwale, a my pełni nadziei wyczekujemy chwili lądowania. A propos nadziei... Bożena z pokładowej kuchni zaszła w ciążę. Ponoć miała służbę na zmywaku i... stało się. Nie wiadomo, kto jest ojcem. Kolejne, cholera jasna, nieskalane poczęcie w dziejach ludzkości!

Z obstawianych na kapitańskim mostku bukmacherskich zakładów wynika, że to Romek Obwarzanek z maszynowni będzie szczęśliwym tatą. Choć patrząc na Bożenę, pewnie raczej nieszczęśliwym.

W sumie nie ma się co chłopakowi dziwić. Siedzi całymi dniami na dole i nudzi się jak mops. Niezawodne silniki atomowe nie potrzebują prawie w ogóle nadzoru. Zostaje mu więc dogłębne najróżniejszych urządzeń hydraulicznych, a tych na naszym statku jest niemało. Gapi się godzinami na cylindry i tłoki poruszające się tam i z powrotem posuwistymi ruchami. Każdego by naszła ochota.

W obliczu stałego przyrostu załogi ugiął się wreszcie nasz pokładowy kapelan i zdjął kościelną kłatwę z automatu z wyrobami lateksowymi. Najwyższy czas, bo dzieci podczas tego lotu regularnie przybywa i już dwie mamy – zamiast pracować na wcześniejszych stanowiskach – prowadzą miniżłobek.

Nie wiem, o czym pisać. Ugrzązłem w tych dygresjach i zgubiłem wątek przewodni dzisiejszej notatki. Szyderycy twierdzą, że mój pisarski potencjał zmienił się w impotencję. Pisarską, oczywiście! Skąd ludziom przychodzi do głowy takie brednie? W każdej chwili mogę im przecież udowodnić, że moje pióro nadal jest lekkie i że stanie. Na wysokości zadania, żeby nie było wątpliwości! Mogę pisać dosłownie o wszystkim, choć z reguły skrobię raczej o niczym. Zapyziała banda prześmiewców! Już ja wam pokażę! Mogę dziś napisać, że... No, właśnie! Że co?

Gówno!

Czwartek, 22 marca

Na dwa dni odpuściłem sobie notowanie wydarzeń dziejących się na Róży Wiatrów. Złośliwi twierdzą, że zrobiłem tak, ponieważ przez ten czas nie wydarzyło się na statku absolutnie nic wartego uwiecznienia w kronice. Nieprawda! Już sam wpis o braku ciekawych wydarzeń jest interesującym wydarzeniem samym w sobie! Chyba zaczynam bredzić. Prześmiewcy uważają, że wcale nie zaczynam, tylko udanie kontynuuję. A niech im tam będzie! Niech sobie mówią, co chcą. Beztalencia pisarskie! Nie potrafią nawet dostrzec, a już tym bardziej docenić, powstającej właśnie literackiej perły.

Przeglądałem kronikę od momentu powstania i doszedłem do wniosku, że bardziej przypomina pamiętnik niż cokolwiek innego. W związku z tym chyba nie zasługuję na miano kronikarza. Idąc dalej tym tokiem rozumowania – czy słowo pamiętnikarz jest w tej sytuacji adekwatne? Czy w ogóle istnieje takowe w słowniku? Nie mam bladego pojęcia. Znow trapią mnie rozterki na temat tego, kim jestem. Czy to powód do niepokoju? Czy jeżeli doda się do niego fakt pisemnej polemiki z samym sobą na łamach pseudokroniki, to powinienem niepokoić się jeszcze bardziej, czy może wręcz przeciwnie? Czyżbym był chory? A może tylko zdrowy inaczej? Zielone tabletki chyba przestają działać. Doktor Kunta Kinte mówił, że po pewnym czasie to normalne. Cóż... Czas na żółte. A Chalcedon wciąż jeszcze tak daleko!

Piątek, 23 marca

Po statku szybko rozeszła się plotka o awarii systemu chłodzącego. Nie wiadomo, kto ją rozpuścił, ale muszę przyznać, że podgrzała atmosferę na mniej więcej pół dnia. Kilka bardziej łatwowiernych osób paradowało po pokładzie w strojach kąpielowych. Genia z księgowości odważyła się nawet, o zgrozo,

na topless. Ekstrawagancje związane z ubiorem trwały, dopóki nie okazało się, że pogłoska o awarii nie ma żadnych faktycznych podstaw. Na szczęście nikt się nie przeziębził.

Coraz więcej ludzi nie radzi sobie z monotonią długiego lotu. Wczoraj odpadł mój sąsiad zza grodzi, Krzysiek Gąsienica. Powiedział, że ma wszystkiego dość i poszedł się zamrozić. Odwiedziłem go wczesnym rankiem. Leżał cały zasrzoniony w lodówce i wyglądał zza przezroczystej przegrody jak yeti. Obudzony zostanie dopiero na Chalcedonie.

Może to nie taki głupi pomysł? W końcu tak naprawdę na Róży Wiatrów nic ważnego się nie dzieje. Po prostu lecimy i już. Na co więc komu ta kronika? Zresztą przydział kartek przypadających na mnie podczas tej podróży już prawie się wyczerpał. Na czym miałbym później pisać, na serwetkach? A jak i one się skończą? Zaczynam być przygnębiony i rozgoryczony. Przystają mnie nawet wciągać brazylijskie seriale emitowane bez przerwy na jednym z kanałów pokładowej holowizji. Dotąd fascynujące bogactwem wątków i zawrotnym tempem akcji, dziś już nie cieszą jak kiedyś. Żółta tabletką czy lodówka – oto jest pytanie. Chyba lodówka... W końcu kto normalny byłby w stanie wytrzymać jeszcze trzy lata w tym latającym wariatkowie?

Jeź

Wszystko zaczęło się w chwili, gdy Tosia w środę rano sprawdziła konto na Facebooku. Dzień wcześniej całe popołudnie spędziła na robieniu sobie najróżniejszych wersji makijażu i strzelaniu selfie. Zrobiła prawie setkę takich zdjęć – przybierała wiele póz i krzywiła twarz w mnóstwie min i grymasów. Przez ponad godzinę siedziała nad tabletem, nie mogąc się zdecydować, w końcu jednak decyzja zapadła i wybrana została jedna fotka. Tosia wrzuciła ją na swoje konto ciekawa reakcji znajomych. W duchu liczyła na słowa uznania, na dziesiątki lajków – w końcu prawie tysiąc znajomych to spore grono widzów.

Rankiem zerwała się z łóżka, w pośpiechu zjadła śniadanie, umyła zęby i uczesała się. Korciło ją, żeby odpalić internet i sprawdzić reakcje na wczorajsze działania, ale nie zrobiła tego w domu. Wołała nie ryzykować połajanek od rodziców. Ci zaś hołdowali staroświeckiej zasadzie, że nie powinno się zaczynać dnia od sprawdzania sieci.

– Sieć była, jest i będzie, zdążysz do niej zajrzeć. – Zwykł mawiać tata poważnym tonem.

– Ważniejsze od wirtualnych są relacje w życiu realnym – dopowiadała mama.

Tosia tak często słyszała te wszystkie argumenty przeciw spędzaniu w internecie zbyt wielu godzin, że na samą myśl o kolejnym razie przeszedł ją po plecach nieprzyjemny dreszcz. Nie potrafiła zrozumieć, co stanowiło podstawę poglądów rodziców. Dorośli byli tacy dziwni, tacy nieżyczliwi i niesieciowi.

Konto na Facebooku sprawdziła dopiero w drodze do szkoły. Wskoczyła do tramwaju, wyjęła z kieszeni telefon, szybko wstukała login i hasło. Jej podekscytowanie momentalnie zgasło. Lajki i pozytywne komentarze pod jej zdjęciem owszem – były. Nie w takiej jednak ilości, jakiej się spodziewała. Ilość serduszek i łapek w górę rozczarowywała. Poza tym było tam coś jeszcze – coś, co ją wkurzyło. Tosia aż sapnęła ze złości na widok komentarza autorstwa Magdy. Nielubiana koleżanka z klasy pokusiła się o złośliwą uwagę na temat jej piegów. Napisała, że nie przykryje ich nic, nawet pół tony makijażu, i że wyglądają, jakby ich właścicielka chorowała na ospę. To było okropne. Tosi ze zdenerwowania aż zadrgała broda, niewiele brakowało, żeby się rozplakała. Zaciśnęła zęby i zmusiła się do zachowania spokoju. Jeszcze tego by brakowało, aby ludzie w tramwaju uznali ją za jakąś bekse.

Postanowiła zignorować komentarz Magdy. Koleżanka była pyskata, używała brzydkich wyrazów i utarczki słowne z nią do miłych nie należały. Poza tym najczęściej niczego nie zmieniały. Tosia stwierdziła, że nie warto kopać się z koniem. Ograniczyła się tylko do zablokowania Magdy na portalu. Szybko przebiegła oczami listę osób, które polubiły dodane wczoraj zdjęcie. Wśród nich nie było Tomka. Blondwłosego obiekt westchnień dziewczyny zignorował ją. To na jego opinii tak naprawdę najbardziej jej zależało.

Może jeszcze nie widział mojego selfie? – w głowie nastolatki pojawiła się pełna nadziei myśl. Weszła na profil Tomka i po owej nadziei nie pozostał nawet ślad. Chłopak logował się na Facebooku

po raz ostatni wczoraj późnym wieczorem – trzy godziny po tym, jak zamieściła zdjęcie. Widział je więc z całą pewnością, ale niczego nie skomentował. Po prostu ją olał. Po raz drugi w krótkim odstępie czasu zadrgała jej broda, oczy dziewczyny się zaszklily. W ostatniej chwili powstrzymała łzy. Postanowiła, że będzie twarda i nie da po sobie poznać, jak bardzo zawiodła ją postawa Tomka. Łatwo jednak powiedzieć, trudniej zaś wykonać.

Cały dzień w szkole Tosia była rozkojarzona. Błądziła gdzieś myślami, nie potrafiła skupić się na lekcjach, z ponurą miną patrzyła w ławkę i nie zgłaszała się do odpowiedzi nawet na najprostsze pytania. Na szczęście żaden nauczyciel nie zaadresował do niej pytania i nie zdobyła przez to złej oceny.

Na ostatniej lekcji miała plastykę. Nauczycielka uznała, że najwłaściwsza forma wykonania zadanej pracy to wydzieranka. W ruch poszły więc arkusze kolorowego papieru i klej. Tosia darła małe skrawki i przyklejała je do kartki z bloku jak automat, wciąż nieobecna myślami. Jej rozkojarzenie spowodowało, że na koniec lekcji przy sprzątanii ławki niedokładnie zakreśliła klej. Tuba z nieszczelnym wieczkiem wrzucona została do piórnika. Piórnik zaś po zamknięciu wyładował w plecaku. Klej się nie wylał, jednak zaczął intensywnie pachnieć.

Mieszkający w piórniku Plastuś wdychał zapach przez całą drogę powrotną ze szkoły do domu. W chwili, gdy Tosia zasiadła do biurka z zamiarem odrobienia lekcji, plastelinowy ludzik był już na porządnym hajcu. Dziewczyna wyjęła piórnik, otworzyła zeszyt, ale zanim cokolwiek w nim zapisała, postanowiła jeszcze raz sprawdzić konto na Facebooku. Ilość polubień jej wczorajszego zdjęcia wzrosła, ale tylko nieznacznie. Tomek nadal go nie skomentował. Już miała wyłączyć telefon, gdy coś przykuło jej wzrok. Obiekt jej młodzieńczej adoracji zmienił na portalu swój status. Od tej pory był w związku. Tosia zbladła, widząc, że połączył się w parę z Magdą.

– Och, nie! – westchnęła smutno, wyłączając iPhone'a. Tym razem już nie zapanowała nad płaczem, łzy spłynęły po jej policzkach. Aby zagłuszyć szloch i nie zwabić nim zaniepokojonych rodziców, rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszce. Wcześniej zaś włączyła muzykę. Z głośników miniwieży popłynęła prosta, rytmiczna piosenka z nurtu disco polo.

W takich właśnie okolicznościach z piórnika na blat biurka wygramolił się Plastuś. Klej, którego nawdychał się aż po same końce odstających uszu, sprawił, że ludzik miał szampański wręcz humor. Fakt, że zataczał się przy każdym kroku, wydawał mu się wcale nie przeszkadzać. Zaczął niezbornie podrygiwać i pisać w rytm muzyki. Jego wzrok padł na dwudziestocentymetrową linijkę z przezroczystego plastiku. Zaprosił ją do tańca, ale nie doczekał się reakcji. Podobnie było z ekiem i gumką do ołówków, cyrkiel również zignorował zaproszenie do zabawy.

– Wszyscy jesteście strasznymi sztywniakami! – skomentował taką postawę Plastuś. – Bawić to się trzeba umieć. A ja umiem! – bełkotał. – Zaraz wam pokażę!

Zgodnie ze złożoną obietnicą: pokazał. Najpierw był *moonwalk*. Plastelinowy ludzik szurał wielkimi stopami po blacie biurka w parodii kultowego tańca Michaela Jacksona. Potem przez prawie minutę ruchy kończyn Plastusia stawały się urywane, celowo wstrzymywane na krótkie pauzy.

– Patrzenie sztywniacy! Jestem robotem! – Takie przynajmniej były założenia, bo wykonanie tego rodzaju choreografii do udanych raczej nie należało.

Odlot Plastusia trwał w najlepsze. Wyginał się, zginał i przginał, chcąc wszem wobec udowodnić, że sztywność ciała to całkowicie obce mu doznanie. Przy kolejnym przeboju postanowił zatańczyć breakdance w wersji dla zaawansowanych. Nie zważał przy tym w ogóle na to, że w tej kwestii nie miał

żadnej, nawet amatorskiej wprawy. Nawalony oparami kleju ludzik padł na blat biurka i zaczął kręcić się jak zabawkowy bąk. Tarcie sprawiło, że jego plastelinowe ciało się nagrzało i znacznie zmiękło. Do tarcia dołączyła się siła odśrodkowa. Po kilku kolejnych obrotach Plastuś się rozczłonkował.

Ręce i nogi odpadły od tułowia, a następnie poturlały się każda w inną stronę. Prawa noga spadła z przodu biurka na dywan, lewa wbiła się idealnie w otwór temperówki. Siła, która pchała ją do środka, sprawiła, że na zewnątrz urządzenia – przez wąską szczelinę przy ostrzu – przecisnęła się cienka, zwijający niczym serpentyna skrawek plasteliny. Prawa ręka dla odmiany spadła za biurko i zawisła na kablu zasilającym lampkę. Lewa ręka uderzyła w piórnik. Impet uderzenia był spory i spowodował, że wypadł z niego klej. Tuba potoczyła się po blacie i zatrzymała nieszczelnym końcem przy głowie znieruchomiącego dopiero co ludzika.

Plastuś chciał krzyknąć przerażony faktem utraty kończyn. W nabieranym do okrzyku hańsicie powietrza wciągnął kolejną porcję klejowego oparu. Parę wdechów później odpłynął do takiego stopnia, że przestał przejmować się tym, że nie posiada rąk i nóg. Miał nieskończenie piękne wizje, więc po co mu ręce? Zrozumiał tajemnicę wszechstworzenia, więc po co mu nogi? Co to są ręce? Co to są nogi?

Kiedy płyta w miniwieży się skończyła, Tosia wstała z łóżka. Wzięła się w garść i otarła łzy. Nie mogła przecież tak płakać w nieskończoność. Musiała odrobić lekcje, bo inaczej rodzice będą się na nią gniewać. Podeszła do biurka i spojrzała na leżącą na blacie tubę kleju i resztki Plastusia. Usiadła na krześle w tak niefortunny sposób, że zgmiotła leżącą na podłodze plastelinową nogę ludzika. Szans na jej szybkie wygrzebanie z dywanu raczej nie było.

Tosia nie zastanawiała się długo. Schowała klej z powrotem do piórnika, a resztki Plastusia przesunęła na skraj blatu. Z przodu dołożyła dwa ciemnoczerwone koraliki, a z góry powbijała ozdobne szpilki, upodabniając tym samym bezkształtną masę do jeża. Nowego ludzika zamierzała ulepić później, po odrobieniu pracy domowej.

Plastuś był zaś na takim hajku, że nową rolę w życiu przyjął jako coś oczywistego. Najważniejsze dla niego okazało się to, że dogłębna analiza cyklu przemian energii w materię i materii w energię nie zakłócała percepcji jego umysłu poszerzonej oparami kleju do niedających się określić rozmiarów.

Liść

Impreza u Romana przeciągnęła się do północy. Nie zamierzałem tak długo kisić się wśród nadętego towarzystwa, ale ilość wypitego alkoholu rozregulowała moje poczucie czasu. Zanim się obejrzałem, wybiła godzina duchów, a po ostatnim normalnym autobusie dawno już rozwiały się resztki spalin. No i kupa! Tym większa, że w kieszeniach miałem raczej pustawo, w każdym razie na taksówkę z pewnością zabraknie. Pożyczać zaś nie chciałem, bo z czego niby miałbym oddać? Stałem więc na przystanku i czekałem na nocny, a ten spóźnił się już dobrych kilka minut.

Zimny wiatr wpadł pod wiatę i zakręcił się wokół mnie, wywołując nieprzyjemny dreszcz. Postawiłem kołnierz marynarki, ale na wiele się to nie zdało. W żołądku czułem pieczenie, co chwila odbijało mi się kwaśną treścią i cały śmierdziałem papierosowym dymem.

Szlag by to trafił! – zakląłem w myślach zły na siebie. Już raz byłem na takiej imprezie i mi się nie podobało. Roman potrafił być jednak przekonujący. No, co? Z kolegą ze szkolnej ławy się nie napijesz? Masz przyjść i koniec! Zobaczysz, będą fajne laski! Nie pożałujesz!

Gówno prawda! Laski miały facjaty napompowane botoksem, utlenione na płatynę włosy i śmiały się piskliwie ze wszystkiego, z nieśmiesznymi rzeczami włącznie. Ubrane w skóry i lateks z założenia miały ociekać seksem. Dla mnie wyglądały jednak wulgarnie. Roman zgarnął je z jakichś targów motoryzacyjnych z Hali Expo, na których wystawiała się jego firma. Nie chciałem uogólniać, bo z pewnością istnieją piękne i inteligentne hostessy. Te jednak uroda i rozumem zbliżone były do alufelgi.

Jak nie ma lasek do poderwania na imprezie, to co człowiekowi pozostaje? Walnąłem parę drinków i świat nabrał kolorów, choć nie przestał być nudny. Świeżo upieczony docent ekonomii z zapalem godnym lepszej sprawy pierniczył o zależności stóp procentowych od wszystkiego, co tylko możliwe. Krytyk literacki dawał popis swej wątpliwej erudycji, mieszając z błotem książkę, której pewnie nawet nie czytał. W innym pokoju początkująca aktorka rozplęwała się nad zaletami znanego reżysera, u którego miała ostatnio okazję zagrać. Mdliło mnie od ochów i achów na tysiące nieinteresujących mnie tematów. Skąd Roman wytrzasnął tych snobów?

Na pewien czas zaszyłem się w kuchni, potem na balkonie, w końcu jednak znudziło mnie słuchanie o przewagach jednego peelingu nad drugim i spinkach do krawatów po sześć stów za sztukę. To nie moja bajka.

Do piłem się jeszcze dwiema szklaneczkami i postanowiłem wrócić do normalności. To jednak okazało się nieco bolesne. Kwadrans po północy, z pustymi kieszeniami, na podwiewanym przystanku było mi mało przyjemnie. Poza sensacjami płynącymi ze strony żołądka kręciło mi się jeszcze na dodatek w głowie. Stałem, kiwając się lekko, w poszukiwaniu umykającego co chwilę pionu, a nocny autobus olewał mnie i nie przyjeżdżał.

W pewnym momencie coś sucho trzasnęło. Zignorowałem ten dźwięk. Bo to mało różnych trzasków człowiek w życiu słyszy? Dźwięk jednak się powtórzył i to kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu. To już było nieco dziwne. Rysując nową falę zawrotów głowy, rozejrzałem się dookoła. Zastanawiałem się, czy to czasem coraz silniejszy wiatr nie próbuje zdemontować przystankowej wiaty. Kolejnemu trzaskowi towarzyszyło wyładowanie elektryczne. Minibłyskawica pomknęła w poprzek wiaty, stawiając mi włosy na głowie i wywołując gęsią skórkę. W powietrzu czuć było wyraźnie ozon. Co tu się, do cholery, dzieje? Mikroburza? Pod dachem z eternitu? A może miałem zwidy? Chyba raczej nie... Owszem, wlałem w siebie co nieco, żołądek wciąż mi o tym nieprzyjemnie przypominał, ale aż tak pijany przecież nie byłem.

Kolejny błysk i zygzak wyładowania zbiegł się z nową falą trzasków. Niewytłumaczalne zjawiska zaczęły powtarzać się coraz szybciej i nakładać na siebie. Hulający pod przystankową wiatą wiatr przybrał na sile, czym zmusił mnie do zmruczenia oczu równie skutecznie, jak coraz liczniejsze minibłyskawice. W pewnej chwili pojawiła się niebieska poświata, a wydarzenia nabrały większego tempa.

Kiedy zamykałem oczy, nie było jej. Po otwarciu – proszę bardzo! Jarząca się kula przenikała przez reklamę z pleksi i pół ławki przystanku. Po jej powierzchni chaotycznie śmigają zygzaki małych piorunów, za to trzaski straciły na sile i po chwili ucichły. Powierzchnia kuli stawała się coraz bardziej przezroczysta, a moim oczom zaczęła ukazywać się przykucniętą w jej wnętrzu ludzka sylwetka. W zamroczonym alkoholem mózgu połączyłem pewne fakty i wreszcie zajarzyłem, czego właśnie stałem się świadkiem. Nie szczędząc siły, chlasnąłem się dłonią w policzek.

– Wstawaj, kurwa! – warknąłem, marząc, żeby to był tylko sen.

Niestety rzeczywistość nie chciała zmienić się na normalniejszą. Za to nowo przybyły spojrział na mnie i wstał z groźną miną. Od razu pojąłem jedną rzecz – tłumaczenie, że przed chwilą wcale nie mówiłem do niego, nie miało sensu. No, gdzie jest ten cholerny autobus? Albo chociaż patrol policji! Na co dzień nie lubiłem glin, ale ich widok w tej chwili uszczęśliwiłby mnie jak mało co w dotychczasowym życiu.

Nie zmieniając marsowej miny, Terminator zbliżył się do mnie. Oczywiście był goły jak święty turecki. Mimowolnie spojrzałem w dół i omal nie parsknąłem śmiechem. Facet miał posturę olbrzyma, wzrost ze dwa metry jak nic. Do tego napakowany tak, jakby od trzeciego roku życia żarł garściami anaboliki: na śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację. I jeszcze wpięprzał je w kanapce robionej przez troskliwą mamusię na drugie śniadanie do szkoły. Biceps miał chyba szerszy niż moje udo, ale za to jego ptaszek... Cóż, chłop jak dąb, jajka jak żółędzie. Przypomniał mi się film porno zrobiony w konwencji przygód przyszłego zbawcy ludzkości przed tyranią inteligentnych maszyn. Nosił tytuł Sperminator. Gość, który stał przede mną nie miał szans na zagranie w nim nawet najmniejszej roli, o głównej nie wspominając.

Swoją drogą ciekawe rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy w chwili zagrożenia. Czy moja ostatnią świadomą myślą przed śmiercią miała być ta o cypaty blondynach rżniętych przez robota z przyszłości ubranego w ludzką powłokę? Co za kretyństwo! Niektórzy ludzie nie powinni zbyt dużo pić. Byłem tego najlepszym przykładem. Na trzeźwo, zachowując resztki zdrowego rozsądku, zwiewałbym gdzie pieprz rośnie, bijąc wszystkie biegowe rekordy świata. Być może Terminator goniłby mnie, na przykład na motorze jak w tym zwiariowanym filmie. Zanim jednak zdobyłby jakieś ciuchy i ów środek transportu, parę chwil by minęło. Miałbym tym samym chociaż nikłe szanse na

powodzenie ucieczki. A tak? Cóż, trochę etanolu we krwi i włącza się ułańska fantazja, a język żyje własnym życiem.

– Ale żeś, koleś, pobłądził! – Usłyszałem czyjś głos. – Stąd do Hollywood jest zajebiście daleko.

Czyjś głos? Kuźwa! To przecież ja mówiłem! Terminator przyglądał mi się pełnym pogardy wzrokiem, jakbym był jakimś śmieciem albo robakiem.

– Nie szukam Hollywood – wycedził zgrzytliwym głosem.

Głowę dałbym sobie uciąć, że dźwięczały w nim przesypujące się z góry na dół gwoździe. Już to, samo w sobie, powinno skłonić mnie do zamknięcia gęby. Nic z tego. Język nie zamierzał słuchać rozsądku, i już.

– Jak chcesz, to pokażę ci, którądy na Grunwald – powiedziałem, chociaż w głębi ducha wcale nie chciałem tego mówić.

Przybysz z przyszłości gniewnie zmarszczył brwi, jakby analizował to, co przed momentem usłyszał. Czyżby w jego słowniku nie było nazwy wsi, pod którą dawno temu spuszczone łomot Krzyżakom? Cholera go wie! Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, umięśniony olbrzym złapał mnie za koszulę i docisnął do słupka wiaty przystanku.

– O, nie, zboczeńcu! – krzyknąłem. – Nie wyskoczyłem dziś z gaci przed cycatymi blondynami w lateksowych miniówkach, więc tym bardziej nie zrobię tego przed tobą. Poza tym, żeby zakryć takiego małego fiutka jak twój, wystarczy ci zwykły liść. Tam są krzaki. – Wskazałem głową w lewo. – Idź i urwij sobie jakiś!

Terminator, wciąż trzymając mnie za koszulę, odsunął się krok w tył. Dociskał mnie teraz do słupka wyprostowaną ręką i spoglądał w dół w kierunku własnego krocza. Po chwili jego palce rozprostowały się, zwracając mi wolność.

– O, kurwa! – Usłyszałem niespodziewanie ciężkie westchnienie. – Co za wstyd!

Przybysz z przyszłości w okamgnieniu zmienił się z zabójczo groźnej maszyny w skonfundowanego swoją niedoskonałością zagubionego robocika. Trochę żal mi się zrobiło biedaka. Cóż on winien? Może to ta podróż w czasie spowodowała redukcję rozmiarów jego kuśki? Terminator stał ze spuszczoną głową i wstydliwie zasłaniał krocze rękami. Był obrazem nędzy i rozpaczy.

I co niby mogłem w takim momencie zrobić? Nocny autobus wciąż nie nadjeżdżał, poszedłem więc zerwać przyrodziewek dla mojego nowego kolegi. Obok przystanku, po lewo rósł bez. Z natury nie miał zbyt dużych liści, ale co tam! Niech się gość z przyszłości cieszy, że to nie jakiś iglak!

Pułapka 2

Pierwsze małżeństwo Pawła okazało się niewypałem. Oświadczył się sympatii z licealnej klasy i choć bał się reakcji wybranki serca, ta ochoczo się zgodziła. Z perspektywy czasu potrafił wytłumaczyć jej zachowanie – Monika była emocjonalnie niedojrzała i w przyływie niczym nieuzasadnionego optymizmu uznała, że klęczący przed nią kolega ze szkolnej ławy to właśnie ten jedyny. Prawdę mówiąc, Paweł emocjonalnie dojrzały także wówczas nie był. Kwaśne miny rodziców i wymowne spojrzenia znajomych niczego nie wskórały. Tuż po zdanej maturze Paweł i Monika, po raptem trzech miesiącach narzeczeństwa wzięli ślub.

Związek przetrwał niecałe dwa lata. Początkowa fascynacja wygasła, jedno przestało zaskakiwać drugie, seks spowszedniał i ogólnie mówiąc, zrobiło się nudno. Nie było większego sensu dociekać, kto kogo pierwszy zdradził. Oboje zrobili skok w bok i Pawła nie zaskoczyłoby, gdyby okazało się, że ich romanse i pozamałżeńskie kontakty płciowe zaistniały równocześnie. Z jednej strony nie czuł się miło ze świadomością, że żona przyprowadziła mu rogi z kolegą z pracy. Z drugiej strony on przespał się z jej przyjaciółką – podobno najlepszą do tego momentu. Uznał, że nie należy rozdrapywać ran, i ku jego dużej uldze, Monika zajęła podobne stanowisko. Nie mieli dzieci, znaczącego majątku nie zdążyli się dorobić, więc sprawa rozwodowa była prosta. Po kwadransie prawniczego głędzenia i podpisaniu kilku karetek gęsto zadrukowanego papieru we właściwych miejscach Paweł stał się rozwodnikiem.

Osobiscie nie lubił tego terminu, wołał określać się jako singiel z odzysku. Miał dwadzieścia jeden lat, studiował prawo, uprawiał crossfit i uważał, że całe właściwe życie dopiero przed nim. Optymiści zawsze twierdzą, że świat dla każdego stoi otworem. Pesymiści na ogół zgadzają się z takim podejściem, tyle tylko że wiedzą, który to otwór. Paweł nie zdawał sobie sprawy, że mimo teoretycznie ciekawych perspektyw jego życie utknęło w czarnej dupie. Skąd zresztą miałby wiedzieć?

Uwolniony od małżeńskich obowiązków, skupił się na nauce i ostatecznie skończył studia z czwartą lokatą na roku. W prawniczym środowisku dał się poznać jako osoba zawsze perfekcyjnie przygotowana, błyskotliwa w wypowiedziach i nieuznająca opcji porażki w prowadzonych sprawach. Nikogo nie dziwiło więc to, że wraz z otrzymaniem dyplomu na ręce Pawła spłynęły propozycje współpracy z renomowanymi kancelariami adwokackimi z całej Polski.

Dobry prawnik z ciekawie zapowiadającą się karierą zawodową był łakomym kąskiem nie tylko na rynku adwokatów i prokuratorów. Paweł stał się gorącym towarem w kręgach towarzyskich. Zainteresowanie, jakie wzbudzał u płci przeciwnej, mocno mu schlebiało, ale nauczony złym doświadczeniem uznał, że nie ma co się spieszyć. Ostrożnie, żeby nie powiedzieć, że z pewną dozą nieśmiałości, ulokował swe uczucia w Ilonie.

Atrakcyjna brunetka zawodowo wybrała drogę radcy prawnego, więc było to bliskie jego adwokackim zapędom. Pociągała go zarówno fizycznie nieskazitelną wręcz figurą, jak i intelektualnie – mogli godzinami rozmawiać o dwóch wspólnych pasjach. Oboje zauroczeni byli nowoorleańską szkołą

jazzu oraz arcydziełami kina niemego. Ilona to ideał – uznał któregoś wieczoru Paweł i mimo że już raz się na takim wniosku sparzył, wyznał jej miłość. Oświadczył się w restauracji podczas walentynkowego wieczoru, uklęknął na jedno kolano i pokazał ukochanej pierścionek z okazałym brylantem. Ilona powiedziała „tak” i Paweł po raz drugi w życiu poczuł się naprawdę szczęśliwy.

Idylliczny okres narzeczeństwa trwał prawie rok. W jego trakcie zakochana para po równo dzieliła czas na pracę i przyjemności. Odwiedzili Nowy Orlean, gdzie chłonęli ukochany jazz u źródeł – w barach wypełnionych papierosowym dymem. Odwiedzili Hollywood ze świeżo otwartym muzeum Charliego Chaplina. Kochali się na plażach Hawajów, Malediwów i Madagaskaru. W dniu ślubu Paweł miał wrażenie, że wstępuje do raju, a jego świeżo upieczona – choć w kolejności druga – żona wypowiedziała sakramentalne „tak” ze łzami wzruszenia w oczach.

I znów wszystko potoczyło się według utartego schematu. Euforia przygasła, w niewiadomym momencie przeszła w rutynę codzienności, szara rzeczywistość po dwóch latach pokonała idealny z pozoru związek. Paweł czuł, że oddala się od żony. Starał się ratować relację, ale mimo całego zaangażowania płomień miłości nieubłaganie przygasał, aż w końcu ostatecznie się wypalił. Mężczyzna nie potrafił na nowo podsyć ognia namiętności i choć bolało go to bardzo, sam przed sobą musiał przyznać, że męczy się w związku z Iloną. Drugi rozwód był jeszcze prostszy. Oboje pochodzili z prawniczego środowiska, znali wszystkie potencjalne miny i po pierwsze, nie zamierzali na nie wejść, a po drugie – wpakować na nie partnera. Po prostu to się nie opłacało.

W wieku dwudziestu siedmiu lat Paweł znów stał się singlem z odzysku. Postanowił wówczas, że trzeciego razu nie będzie. Nie zamierzał ponownie się zakochać i przechodzić znów przez te wszystkie etapy – zauroczenia i fascynacji na początku, znudzenia i rozgoryczenia w środku oraz irytacji na koniec. Doświadczył tego dwukrotnie i uznał, że w tej kwestii doświadczeń wystarczy mu do końca życia. Oczywiście nie zamierzał się odcinać od kobiet. Sam przed sobą musiał przyznać, że lubi ich towarzystwo. Zwłaszcza, gdy były to piękne kobiety. Poza ramy niezobowiązującego romansu nie zamierzał jednak wykraczać.

Przez pewien czas jego rezerwa i brak chęci do zaangażowania się w głębszy związek stanowiły źródło plotek o zmianie orientacji seksualnej. Paweł nic sobie z tego nie robił, a gdy widział znaczące spojrzenia i słyszał dwuznaczne teksty rzucane w jego kierunku przez niekryjących swoich homoseksualnych upodobań kolegów, zwykle parskał śmiechem. Kolejnych kilka lat przyniosło parę romansów – wszystkie okazały się płytkie i przewidywalne. Choć w sferze łóżkowej były mniej lub bardziej udane, to w ostatecznym rozrachunku Paweł czuł rozczarowanie.

Doszedł do wniosku, że seks jest mu potrzebny do życia, cała jego otoczka już nie. Nie chciało mu się rzucać błyskotliwych uwag i czarować nimi potencjalnej wybranki w jakimś towarzystwie. Nie chciało mu się chodzić na randki do kina czy restauracji. Poznawanie gustu i upodobań kobiety stało się dla niego nudne i jak ostatecznie uznał – niewarte zachodu. Cały ten wstęp do łóżka wolał pominąć i od razu przejść do rzeczy. Rozwiązanie okazało się banalnie proste – Paweł stał się klientem agencji towarzyskich. Praca zawodowa przynosiła mu niemały dochód, mógł więc pozwolić sobie na usługi nawet najbardziej ekskluzywnych pań do towarzystwa tak często, jak chciał.

Początkowo odpowiadało mu to w stu procentach. Nie musiał prowadzić miálkich rozmów na temat ulubionych pisarzy, zespołów muzycznych czy filmów. Nie musiał słuchać nudnego trajkotania o sytuacji w rodzinie czy pracy. Od razu dostawał to, czego chciał – chętne, gorące i nagie ciało. Potem jednak, po entym tego typu spotkaniu, Paweł poczuł, że taki sposób życia również mu spowszedniał.

Zamawiane do domu prostytutki, choć za każdym razem inne, w gruncie rzeczy były takie same. Oczywiście dzięki ich zaangażowaniu osiągał spełnienie, ale poziom satysfakcji za każdym razem stawał się coraz niższy. Czuł potrzebę jakiejś zmiany, poszukania czegoś nowego, co ponownie rozpaliliby w nim iskrę namiętności. Znając życie, pewnie nowa podnieta wystarczy na kilka kolejnych lat, po których upływie znów mu się znudzi. Mimo to chciał ją odkryć, by choć przez jakiś czas znów czuć chęć do życia.

Początkowo zastanawiał się nad egzotycznymi podróżami. Pomysł wydawał się atrakcyjny, ciekawych miejsc do zobaczenia Ziemia oferowała mnóstwo. Stać było go na podróż w nawet najbardziej odległy i egzotyczny skrawek świata. Po głębszym namyśle odrzucił jednak tę koncepcję na życie. Wcale nie mało wypraw miał już na koncie, wiele zdążył zobaczyć z drugą żoną, czy z kochankami. Sam przed sobą musiał przyznać, że wśród rzucanych przy takich okazjach obopólnych okrzyków zachwytu, akurat jego entuzjazm był w dużej mierze udawany. Niby mu się podobało, ale żeby płaszczyć z radości i śpiewać ze szczęścia? Niespecjalnie. Poza tym zużyły go wielogodzinne loty samolotami. W dobie internetu i rozwoju technik wirtualnych mógł obejrzeć wszystko, co chciał, nie ruszając się z domu. W tym samym czasie, gdy siedział wygodnie w fotelu i popijał ulubionego drinka, mógł oglądać i słyszeć Niagarę, mógł płynąć katamaranem wzdłuż wybrzeży Dominikany albo na wzór kondora latać nad Wielkim Kanionem. Tak było prościej – nie męczył się podróżą, nie musiał szczerzyć się na lokalne choroby, ani razu się nie spocił i nie ryzykował oparzenia słonecznego. Nie odchudzał również portfela, choć z natury nie był sknerą i z wydawaniem pieniędzy na różne zachcianki nie miał większych problemów.

Przez jakiś czas Paweł zastanawiał się, czy nie znaleźć w sobie pasji do jakiegoś sportu ekstremalnego. Mógłby na przykład zjeżdżać na snowboardzie z najwyższych górskich szczytów, skakać nocą na spadochronie albo zostać kitesurferem. Potem przyszła jednak refleksja – mógłby, ale po co? Był szczupły i jednocześnie dobrze zbudowany. Nie musiał poprawiać muskulatury. Wysoki poziom adrenaliny w żyłach? Euforyczne uniesienia przy pokonywaniu kolejnych barier? Czy naprawdę tego chciał? Jaką zyskałby z tego korzyść? Odpowiedź wydawała się w miarę prosta – samoocena wzrosłaby niewiele, a niewątpliwy poklask kobiet i zazdrość mężczyzn z otoczenia nie przyniosłby mu satysfakcji. Opuścił więc sobie sporty ekstremalne.

Po wielu godzinach zastanawiania się, co dalej, dotarł do momentu, w którym zadał sobie podstawowe pytanie: co w dotychczasowym życiu przynosiło mu najwięcej zadowolenia? Nie wahał się z udzieleniem odpowiedzi. Najwięcej frajdy sprawiał mu seks. Kiedy to odkrył, postanowił wrócić do życia erotycznego. Uznał, że aby specyficzne hobby nie spowszedniało mu jeszcze bardziej, czas najwyższy, by w tej sferze trochę pokesperymetować. Nie był zbokiem, nie lubił klimatów sado-maso, kontakty homo też nie wchodziły w rachubę. Nie zamierzał robić w łóżku wielkich rewolucji. Chciał jedynie dodać do seksu jakiejś przyprawy, żeby nadać specyficznemu daniu wykwintności i pikanterii. W świecie stron oferujących różnorodne darmowe filmy porno bywał dotychczas rzadko. Postanowił jednak ponownie się w nie zanurzyć, aby znaleźć to, co go najbardziej kręciło. I wreszcie znalazł.

Z nie małym zdziwieniem odkrył, że podniecają go przebieranki. Wizja niezliczonej ilości ról, w które mógł się wcielić wręcz go oszołomiła. Delikatnie wypytał o te sprawy kilka pań, z którymi umówił się na seks. Okazało się, że za dodatkową dopłatą mogłyby przebrać się zgodnie z sugestiami klienta i odegrać narzuconą rolę. Paweł był wniebowzięty, a kiedy zrealizował pierwszy seksualny scenariusz, stwierdził, że to strzał w dziesiątkę.

Wcielił się w okrutnego czarodzieja, który daje się udobruchać uległej adeptce magii i dzieli się swoimi mocami z pojętną uczennicą. Owe moce płynęły z jego łędźwi, a uczennica miała głębokie gardło i pospiesznie łykała naukę. Potem był jaśnie panem, który podczas inspekcji swoich włości obdarzył łaską prostą pasterkę. Rola rycerza, który w ramach krucjaty nawracał poganki w Ziemi Świętej tak mu przypadła do gustu, że odegrał ją kilkakrotnie. Nawracanie grzesznic odbywało się oczywiście w pozycji na misjonarza. Paweł świetnie się bawił także jako kosmonauta rozbitek, którego ratuje niebieskoskóra kosmitka oraz jako rybak, który złapał złotą syrenę. I kosmitka, i syrena obdarzone były hojnie przez matkę naturę. Niebieskoskórzy faceci wyginęli na tajemniczą chorobę, podobnie zresztą jak złotoskórzy syreni. Dla obu pań stał się jedyną nadzieją na przedłużenie gatunku, starał się więc w tej kwestii, jak mógł.

W miarę puszczenia wodzy fantazji Paweł zauważył, że coraz bardziej podobają mu się łóżkowe inscenizacje klasycznych bajek. To rajcowało go zdecydowanie najmocniej i na długo zostawało w pamięci. Godzinami obmyślał szczegóły związane z odgrywaniem scen, do perfekcji opracowywał detale stroju własnego i partnerki. A potem odpływał w cielesnej ekstazie jako książę, który w zamian za zwrot zgubionego buta przeleciał Kopciuszka. Albo Jaś, który po pozbyciu się złej Baby-Jagi przyjął dowód wdzięczności od Małgosi. Fakt, że była jego siostrą dodawał całej akcji dodatkowego smaczku.

Za każdym razem chciał odgrywać następną bajkę, którą adaptował na własne potrzeby. Za każdym razem pojawiał się też jeden warunek – partnerka do łóżkowych uciech musiała być nowa. Nie chciał iść do łóżka drugi raz z tą samą prostytutką. Ta zasada zapędziła go w końcu w kozi róg. Poznał wszystkie panie do towarzystwa w kilku zaprzyjaźnionych agencjach. Roszady na stanowiskach w tym specyficznym zawodzie należały do normy – część dziewczyn kończyła udostępniać swe wdzięki za pieniądze, na ich miejsce przychodziły nowe. Nie był to jednak proces o dużej dynamice. W każdym razie owa dynamika okazała się niesatysfakcjonująca dla Pawła. Nie chcąc zrezygnować z prawie że doskonałych doznań erotycznych, postanowił poszukać nowych kandydatek do ról bajkowych piękności poza agencjami. Ponownie zagłębił się w meandry stron oferujących seksusługi.

Któregoś popołudnia przeglądał paletę ofert i im więcej miał ich już za sobą, tym bardziej był zdegustowany. Krzykliwe slogany i wyuzdane pozy na zdjęciach prowadziły tylko do jednego – prostackiej, zwierzęcej kopulacji. Bez grama polotu, bez najmniejszej nawet finezji. Uważał się za konesera seksualnych doznań i to, co proponowała mu oglądana właśnie strona, było poniżej jego godności. Już miał zamknąć okno przeglądarki, gdy jego wzrok przykuł drobny anons w rogu ekranu.

Przykuł, a następnie go zelektryzował. Paweł poczuł jak dreszcz podniecenia przebiegł mu po ciele i skupił się najmocniej w podbrzuszu. To było to! W morzu płytkiego, mechanicznego seksu znalazł prawdziwą perłę erotyki. Takiej okazji nie mógł przepuścić za nic na świecie. Zadzwoił pod podany numer, potwierdził kilka szczegółów, ustalili termin spotkania i bez wahania wpłacił zaliczkę. Kwota do małych nie należała, ale nie uszczupliła znacząco zasobności jego konta. Poza tym uznał, że spełnienie pewnych marzeń było bezcenne.

Przez cały tydzień siedział w swojej kancelarii adwokackiej jak na szpilkach, nie mogąc doczekać się ustalonego na weekend spotkania. Jego myśli co rusz uciekały do znalezionej w sieci oferty i wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, jakie miał szczęście, że zauważył ją w zalewie erotycznego chlamu. Z niecierpliwością odliczał godziny dzielące go od spełnienia kolejnej seksualnej fantazji. Tym razem miał zaliczyć śpiącą królownę.

Scenariusz wydawał się wręcz idealny – docierał na miejsce, wysłał SMS-a z sygnałem gotowości. W zwrotnej wiadomości dostawał kod otwierający cyfrowy zamek i wchodził do pomieszczenia ze śpiącą dziewczyną. Dziewczyna była zaś cudowna – tak piękna, tak delikatna i niewinna, że aż zapierało mu dech w piersiach. Mógł z nią zrobić wszystko, co chciał, i dopiero na koniec, po zaspokojeniu, miał obudzić ją pocałunkiem. Będzie to także moment na dokończenie płatności za specyficzną usługę. Uznał to za łyżkę dziegciu w beczce miodu, ale stwierdził, że przełknie ją bez zmruczenia oka, a już z pewnością bez wykrzywienia twarzy. Dla tak pięknej, tak świeżej i całkowicie uległej śpiącej królowej mógł zapłacić prawie każdą cenę.

Wreszcie nadszedł upragniony dzień. Paweł poczuł dreszcz na plecach, gdy szczęknął otwarty kodem zamek. Wszedł do pomieszczenia i zaniemówił. Z półmroku wyłaniało się coś na wzór katafalku. Na nim zaś leżał anioł. Dziewczyna okazała się uosobieniem jego erotycznych marzeń – zachwycająca uroda, delikatność i niewinność w jednym. Jej piękno było arcydziełem matki natury. Paweł zatracił się w nim w jednej chwili. Zerwał z siebie ubranie. Wskoczył na imitujące katafalk łóżce i zaczął rozbierać dziewczynę. Przez chwilę podziwiał jej nagość, po czym rozsunął na boki jej nogi, gotów na penetrację.

W tym momencie dziewczyna otworzyła oczy, uderzyła pochyłającego się nad nią Pawła nasadą dłoni w nos i wykorzystując chwilę jego kompletnego zaskoczenia, uciekła z łóżka. Zabłyśły ostre światła, które błyskawicznie przegoniły romantyczny dotąd półmrok. Oszołomiony niespodziewanym ciosem, nagi Paweł usłyszał pospieszne kroki ciężkich, podkutych butów. Chwilę potem został powalony na katafalk, a jego ręce ktoś sprawnie wykręcił i skuł za plecami. W pole widzenia mężczyzny, którego głowę przekrzywiono na bok i dociśnięto do łoża, weszła śpiąca królowa. Odziana w szlafrok patrzyła na niego z nieskrywaną pogardą i obrzydzeniem. Paweł niczego nie rozumiał z rozwoju wydarzeń. Zanim jednak zdążył o cokolwiek zapytać, usłyszał jak jeden z kręcących się po pomieszczeniu mężczyzn melduje do krótkofalówki:

– Akcja „Pułapka” zakończona. Nagrana próba seksu z trzynastolatką. Mamy kolejnego pedofila.

Poranek na bagnach

Shrek kochał Fionę i dzieciaki. Dałby się za nie pokroić. Bywały jednak dni, kiedy miał ich po dziurki w nosie. Zrób to, zrób tamto i jeszcze siamto było niekończącą się wyliczanką żony. Tato pobaw się ze mną, pograjmy w coś, nudzi mi się – to z kolei analogiczna, również niemająca kresu, wyliczanka ze strony dzieci. Czasami odnosił wrażenie, że jeszcze chwila i oszaleje.

W takich momentach wracał myślami do czasów, kiedy mieszkał w chacie na bagnach sam. Miał wtedy święty spokój, mógł robić, co chciał. Nikt mu nie ciosał kołków na głowie za niewyrzucone śmieci, za to, że zepsuły się marynowane ropuchy i trzeba nałapać nowych albo że skończyły się zaskrońce na grillu. Takie tematy jeszcze kilka lat temu były dla niego wręcz abstrakcją – teraz stały się chlebem powszednim.

Mimo że Shrek dawne czasy utożsamiał z błogą wolnością i spokojem, to ostatecznie po chwili głębszych przemyśleń i tak dochodził do wniosku, że nie zamieniłby na nie teraźniejszości. Mimo całego bagażu obowiązków związanych z posiadaniem rodziny ogólny bilans zmian w życiu oceniał na plus. Po prostu kochał Fionę i dzieciaki.

Z biegiem czasu znalazł sposób na poprawę nastroju w chwilach kryzysu. Tym sposobem okazał się samogon. Jak mawiał jego przyjaciel Osioł – potrzeba dania w palnik została wpisana w naturę każdego żonatego i dzieciatego faceta. Osioł posiadał dwa razy więcej dzieci od Shreka, a kolejne były podobno w drodze. Ogr nie miał więc powodów, by wątpić w to zapewnienie. Poza tym jego druh ożenił się ze Smoczycą, a to był znacznie większy kaliber problemu w porównaniu z Fioną.

Ostatecznie przyjaciele doszli do porozumienia i średnio raz w miesiącu oddawali się konsumpcji napojów alkoholowych. Ich małżonki tak do końca z tego proceduru nie wydawały się zadowolone, ale w sumie zbyt mocno nie oponowały przeciwko nowej, specyficznej tradycji. W końcu ogr i Osioł pili w domu i nigdzie się nie włóczyli – nie mieli więc szansy na narobienie wstydu czy zadawanie się z niepożądanym towarzystwem. Raz na miesiąc każda żona zniesie bełkot ukochanego, nawet jeśli po pewnym czasie przechodził w niezrozumiałe słowotwórstwo i kończył się utratą przytomności. Mogły sobie taki wieczór odbić w kolejnym dniu – facet na kacu bowiem zazwyczaj robił wszystko, aby mieć święty spokój. I Shrek, i Osioł godzili się przeżywać syndrom dnia następnego wśród gderania żon, wypełniając ich polecenia, bo wiedzieli, że za około miesiąc znów nasączą się samogonem. Układ może nie był idealny, ale cementował dwa małżeństwa i przyjaźń ogra z osłem.

Podczas jednego z takich mocno zakrapianych spotkań, w chacie na bagnach, przyjaciele odpadli dość szybko. Każdy w ciągu dnia miał sporo męczącej pracy, a na dodatek przyniesiony przez gościa samogon okazał się wyjątkowo mocny. Osioł jeszcze przed północą poczuł, jak rozjeżdżają mu się nogi. Kłapnął na zad, niedługo potem uwalił się na bok i zachrapał. Shrek przetrzymał kompana niewiele dłużej – zasnął z głową na stole krótko po północy. Jego chrapanie było równie donośne. Fiona

i Smoczyca zgarnęły rozbrykane dzieciaki znacznie wcześniej przed finałem imprezy. Wraz z nimi położyły się spać w drugiej izbie chaty na bagnach.

Krótko po tym, jak pierwsze promienie słońca liźnęły dom Shreka, błogą ciszę poranka przerwało walenie do drzwi. Ogr zerwał się ze snu i tępym wzrokiem potoczył dookoła, aby spróbować znaleźć źródło hałasu. Nie znalazł, więc zamierzał na powrót ułożyć ciężką głowę na blacie stołu, tym razem na drugim policzku. Niestety nie zdążył ponownie odpłynąć w niebyt. Walenie się powtórzyło i można było odnieść wrażenie, że stało się bardziej natarczywe. Shrek z ciężkim westchnieniem podniósł się zza stołu i na chwiejnych nogach ruszył do drzwi. Odryglował je i otworzył. Mrużąc oczy przed słońcem, stanął w progu chaty i warknął:

– Czego?

Zaszklony wzrok ogra zogniskował się na szczupłym człowieku słusznego wzrostu. Przybysz odziany był w wąskie, skórzane spodnie i kaftan, a na nim narzuconą miał kolczugę. Znad barków wystawały mu rękojeści dwóch mieczy. Oblicze mężczyzny przecinała paskudna blizna, która dodawała złowrogiego wyrazu, do i tak niezbyt urodziwej twarzy. Najdziwniejsze w wyglądzie nieproszonego gościa okazały się jednak jego długie, białe włosy związane w koński ogon.

– Ty jesteś Shrek, ogr bagienny? – spytał białowłosy.

– Tak. – Zapytany czuł nieznośną suchość w gardle i niesmak w ustach, które powodowały zanik tolerancji dla obcych. – Czego? – powtórzył opryskliwe.

– Jestem Geralt z Rivii, licencjonowany wiedźmin. Mam na ciebie zlecenie. Przybyłem cię zabić.

– Że co? – podniósł głos Shrek. – Co to za brednie?

– Szykuj się do walki, potworze! – oznajmił Geralt, wyciągając zza pleców srebrny miecz.

– Ja niby jestem potworem? Ja? – wściekł się ogr. – Spójrz na siebie, cudaku! Pokancerowana gęba, pedalska fryzura i dopełniające wyglądu obciste gatki z miękkiej skóry! Nie zdziwiłbym się, jakby z tyłka wystawał ci sznurek, pajacu! Pociągam za niego, a ty rozkładasz nogi i pierdzisz!

Wiedźmin nie zląkł się krzyku, sam również podniósł głos:

– Mój miecz, raz wyjęty z pochwy, zanim zostanie ponownie schowany, musi zakosztować krwi! To będzie twoja krew, zielona paskudo!

To stwierdzenie rozeźliło Shreka nie na żarty.

– Moja zielona pięść, jak już raz się zaciśnie – wrzasnął – musi komuś rozbić łeb. Nawet jeśli miałby to być tak szkaradny, jak twój, to się nie zawaham! A z twoich włosów zrobię sobie mopa do mycia podłogi.

– Tak? To ty cokolwiek myjesz? – zakpił Geralt z Rivii. – Bo siebie na pewno nie. Cuchniesz gorzej niż całe bagno wokół. Gotuj się na śmierć, śmierzdielu! – wykrzyczał i mocniej chwycił rękojeść miecza, szykując się do zadania pierwszego ciosu.

Shrek zaciśnął pięści, gotów dzielić natręta przynajmniej jedną z nich, gdy niespodziewanie do akcji wkroczyła Fiona. Przepchała się przez drzwi tuż obok męża i wrzasnęła:

– Co tu się, do kurwy nędzy, wyprawia? Co za w dupę kopany zjeb drze mordę o poranku i budzi mi dzieci? – Widząc lśniące w porannym słońcu srebrne ostrze, doskoczyła do intruza i bezceremonialnie wyrwała oręż z jego dłoni. – Ty gnoju! – Natężenie jej głosu nie osłabło ani trochę. Wbiła klingę między belki chaty i mocno na nią naparła. – Ty ciulu pierdolony! – dodała tuż po tym, jak złamała miecz. – Wypierdalaj mi stąd!

Kiedyś srebrny miecz, obecnie srebrny złom, rzucony został w stronę wiedźmina. Geralt uchylił się, zasłaniając ramieniem. Wówczas zarobił potężnego kopa w tyłek od rozsierzonej ogrzycy. Po chwili drugi, równie bolesny, zmusił go do postąpienia krok w tył. Chcąc uniknąć trzeciego, i pewnie kolejnych, wiedźmin uciekł.

– I żebym cię tu, kurwa, więcej nie widziała! – Dobiegł go wrzask wkurzonej Fiony.

Po chwili przed chatą na bagnach zaległa miła dla ucha cisza. Oniemiały Shrek patrzył na żonę z rozdziawioną buzią.

– Ale mi, skurwysyn, ciśnienie podniósł! – stwierdziła Fiona. Podeszła do męża lekko speszona, z wyraźnym pąsem na policzkach. Wzruszyła nieznacznie ramionami i z rozbijającą szczerością powiedziała na usprawiedliwienie swojego zachowania sprzed chwili: – No, co? Nie lubię, jak mi się okres spóźnia.

Seans

Dźwięk trzaskających drzwi obudził mojego brata. Krystian zwlókł się z łóżka, stękając jak stary dziadek i mamrocząc coś pod nosem. Nie zrozumiałem słów, ale mogłem się w ciemno założyć, że do cenzurowanych należało raptem co czwarte. Po chwili w drzwiach prowadzących do mojego pokoju ukazała się jego rozczochrana głowa.

– Co jest, brat? – zapytał w typowy dla siebie, prostacki aż do bólu, sposób.

Jeśli kiedyś popisz się bardziej kwiecistym językiem, nabiję sobie żuchwą siniaki na kolanach.

– Mała się obraziła i wyszła – powiedziałem smętnie, zwieszając głowę.

– Ot, tak? Po prostu? – zdziwił się Krystian, szeroko przy tym ziewając.

– Pokłóciliśmy się – odparłem i nie chcąc wdawać się w szczegóły, dodałem: – Stwierdziła, że jestem jakiś dziwny, i poszła.

Brat spojrział na mnie kpiąco i uniósł jedną brew. Gnojek dobrze wiedział, kiedy kłamię. Albo znał mnie jak własną, wiecznie dziurawą kieszeń, albo po prostu nie umiałem wciskać kitu.

– No dobra! – westchnąłem. – Powiedziała, że jestem porąbany od czubka głowy aż do podeszw, z prawa na lewo i z przodu w tył.

– E, to spoko! – Machnął lekceważąco ręką Krystian. – Kocha cię i tyle.

Oslupiałem, bo dla mnie między formą i treścią niedawnej wypowiedzi Małej a deklaracją wzniosłych uczuć istniała przepaść bez dna. Z całą pewnością nie postawiłbym między nimi znaku równości. Musiałem mieć nietęgą minę, bo mój bliźniak sam z siebie postanowił wyjaśnić, o co mu chodziło.

– Głowa do góry, brat! – pocieszył mnie. – Zawsze przecież mogła stwierdzić, że jesteś debilem. Wtedy to by była kaplica! Albo na przykład, że zamiast szarych komórek masz pod kopułą zarodniki szarej pleśni. I że do myślenia nie używasz tej masy, która pływa ci w bańce, tylko... bo, ja wiem... zębów na przykład albo paznokci.

– Dość! – przerwałem ostro, zanim zdążył się rozkręcić.

Zarodniki pleśni? Co mu do łba strzeliło? Pewnie ściągnął tekst z jakiegoś kiczowatego horroru. Jeżeli zamierzał pocieszać mnie tym, że moja dziewczyna zawsze przecież mogła mi bardziej nawtykać, to ja serdecznie dziękuję za takie wsparcie.

Krystian wlaźł do pokoju i rozsiadł się wygodnie na moim łóżku.

– Spoko, brat! – oznajmił. – Starsze rodzeństwo ma się po to, by pomagało w życiu młodszemu.

Jęknąłem w duchu. Cóż za głęboka myśl! Mojemu bratu zebrało się na filozofowanie, a to źle wróżyło na najbliższą godzinę.

– Chcę zauważyć, bliźniaku, że starszy jesteś ode mnie raptem o pięć minut.

– Ale jestem, prawda? – Mój argument na Krystianie nie zrobił żadnego wrażenia.

– Prawda – westchnąłem. Gdy był w filozoficznej fazie, nikt nie mógł go przegadać.

– No, to zdaj się na starszego, brat! Coś się wymyśli, żebyś miał z Małą bara-bara.

W zasadzie tego mogłem się spodziewać. I kierunku, w którym zбочzyła rozmowa, i wspomnianej wcześniej kwiecistości języka mojego brata. Całości dopełniał widok potarganego, ziewającego siedemnastolatka w rozchełstanej piżamie, który drapał się po rzadko owłosionym, wąłym torsie. Drapanie trwało i nic nie wskazywało na to, że w najbliższej przyszłości się zakończy. Zanim jednak elokwentny braciszek wydrapał sobie dziurę w okolicy mostka, doznał olśnienia.

– Wiem! – krzyknął.

No, właśnie! Tego się obawiałem. Co by nie mówić – ja też dobrze znałem Krystiana. W końcu to mój bliźniak. Spojrzałem na niego pytająco, choć byłem przekonany na sto procent, że i tak opowie o swoim pomysle bez mojego przyzwolenia.

– Jeśli chcesz ocieplić atmosferę, to kup jej coś! – oznajmił i wbił we mnie triumfujący wzrok.

Do powalenia mnie z wrażenia na kolana było daleko. Cholernie daleko – nazywając rzeczy po imieniu.

– Idź się wysikaj! – poradziłem bratu. – Najwyraźniej pęcherz mózg ci uciska. – A w myślach dodałem: – Jakby miał co uciskać...

Krystian zignorował moją sugestię, rozwinął za to swój pomysł dotyczący kupienia czegoś Małej.

– Spraw swojej kobiecie koronkową bieliznę! – powiedział z błyskiem w oku.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że wśród potencjalnych prezentów wymieni skórzany pejcz i kajdanki. Brat okazał się subtelniejszy, niż myślałem.

– Zapomnij! – westchnąłem.

Mała w koronkach? Piękna wizja, nie powiem... Jednak w chwili ich wręczenia dostałbym w twarz: najpierw otwartą dłoń, a potem wiązanką wyzwisk z seksistowską świnią na czele.

– Albo kup jej jakąś rybkę!

– Rybkę? Świetny pomysł! A może to być karp?

– Nie no, brat, coś ty! – Mój bliźniak aż się zatchnął. – Trochę powagi, stary, bo inaczej zostaną ci tylko rękocyny.

Zabawne, że o zachowanie powagi apeluje ktoś taki jak Krystian.

– Co ty, brat, kobiet nie znasz? – kontynuował swój wywód, nic nie robiąc sobie z mojego groźnego spojrzenia. – Każda baba lubi, jak facet obsypuje ją podarkami.

Już to widzę: Mała stoi pośrodku pokoju, a ja ciskam w nią jakąś rybkę. Jeśli nie karpiem, to na przykład śledziem, wyjętym dopiero co z octowej zalewy. Nie żebym miał coś przeciwko kupowaniu kobietom prezentów, ale w przypadku mojej dziewczyny nie była to prosta sprawa. Krystian miał w tej kwestii inne zdanie.

– Bańka do góry, brat! – rzucił niezrażony moim sceptycyzmem, po czym dodał wyświechtane powiedzenie w autorskiej wersji: – Mówię ci, przez prezent do serca. Kup jej kota!

– Mała ma uczulenie na sierść.

– O? – zdziwił się mój rozmówca. – Ale to nic! Zawsze możesz kota ogolić. – Machnął ręką. – Ciesz się, że nie ma alergii na ciebie.

Choć jak dotąd wylicznanka bliźniaka była krótka, już zaczynałem mieć jej po dziurki w nosie. Nie wierzyłem, że chłopak jest w stanie wymyślić coś sensownego, a na wyszukiwanie kontrargumentów

przeciwko sprezentowaniu Małej różnych głupot nie miałem ochoty. Zresztą, jakie mogą być kontrargumenty przeciwko suszarce do grzybów, odblaskom do tornistra czy łyżce do butów? Kiedy padła propozycja zakupienia mydła Biały Jeleń w ilości dziesięciu kostek, zawrzało we mnie wszystko.

– Krystian, do cholery, przestań! – wrzasnąłem. – Mam problem, a ty jaja sobie ze mnie robisz. Nie potrzebuję rad od gościa, który do popołudniowej drzemki przebiera się w pizamę z elfami!

Litania kretynstw jako potencjalnych podarunków się ucięła. Bliźniak zamilkł, choć tylko na chwilę.

– No, dobra, brat! Widzę, że to poważna sprawa. Myślisz i mówisz w wielkim afekcie.

W afekcie? A, żeby cholera, wiedział! Tylko skąd on zna takie słowo? W hollywoodzkich horrorach nikt raczej takich nie używał. Nie wyobrażałem sobie sceny, w której zombie albo jakiś wampir mówi do przerażonej ofiary: „Azaliż pozwoli pani, abym w afekcie pokąsał pani łabędzią szyję?”. Niemożliwe!

– Bracie mój! – Krystian zebrał siły od nowa. – Każdy prawdziwy mężczyzna wie o tym, że kobieta przy jego boku pragnie być szczęśliwa. Definicji szczęścia jest na świecie mnóstwo... – Mój kochany braciszek zaakcentował to ostatnie zdanie, unosząc do góry palec wskazujący. – Nie roztrząsajmy jednak różnic między nimi i przejdźmy do sedna sprawy. Mała odeszła, bo nie potrafiłeś zapewnić jej tego elementarnego odczucia. Zapewnij je, a Mała wróci.

Dla Krystiana sprawa wydawała się prosta. Równie prosta jak rozwiązanie, które zamierzał przedstawić. Cep był bardziej skomplikowany. Westchnąłem zrezygnowany i choć miałem złe przeczucia, zapytałem:

– Co więc, doktorze szczęściologu, proponujesz?

Krystian ze stoickim spokojem odpowiedział:

– Kobieta najszczęśliwsza jest w chwili orgazmu. Kup jej wibrator, ale u siebie zostaw ładowarkę do niego. Wtedy na pewno do ciebie wróci.

Zazwyczaj ludzie do myślenia używają mózgu. Mój brat używa dwóch – oba są kuliste i mieszczą się u niego w mosznie.

– Wyjdź, głupku! – powiedziałem resztką sił, walcząc z chęcią dzielenia go w pusty łeb.

O dziwo, wstał i od razu ruszył w stronę drzwi. Obraził się. Pies mu mordę lizał!

Byłem w punkcie wyjścia o stracony kwadrans później. Co powinienem zrobić? W jaki sposób mam odzyskać moją drażliwą i nadąsaną dziewczynę? Nie miałem bladego pojęcia. Zrezygnowany usiadłem na brzegu łóżka i ukryłem twarz w dłoniach. To był najgorszy dzień w moim życiu. Czułem kompletną pustkę w głowie. Mała, wróć!

Dwukrotne piknięcie oznajmiło koniec seansu. W ciemnym dotąd pomieszczeniu zapłonęło światło i głośniejszszumiła klimatyzacja. Drzwi z cichym buczeniem wsunęły się w ścianę, a na progu pojawił się technik ubrany w smoliście czarny kombinezon.

– Panie Twardowski – powiedział, wkraczając do środka – koniec seansu.

Siedzący na fotelu posiwiślały mężczyzna otworzył oczy i ciężko sapnął. Jego spojrzenie wypełniała złość i żal. Twarz wykrzywił grymas udręki. Wydawać by się mogło, że to schorowany, zniszczony przez życie wrak. Nic bardziej mylnego – ciało, choć niemłode, nadal skrywało sprawność i siłę. Ból

malujący się na jego obliczu i widoczny w postawie nie miał bowiem charakteru fizycznego. Był bezcielesny, gdyż cierpiała dusza.

– Nazywanie tego seansem jest niepoważne – powiedział do technika, prostując przygarbione plecy. – To są psychiczne tortury.

– Oczywiście – zgodził się z nim beznamiętnie mężczyzna w smoliście czarnym kombinezonie. Sprawnymi ruchami wyłączył poszczególne elementy złożonego zestawu audio-wizualnego. – Po tej rozróbie na księżycu spodziewał się pan czegoś innego?

Twardowski wzruszył ramionami.

– Jakież potępieńczo wyjące dusze? Kotły pełne wrzącej smoły?

Technik parsknął śmiechem.

– To staromodne i nieekologiczne. Dziś nie każemy grzeszników bólem fizycznym. Psychotortury okazały się o wiele skuteczniejsze. Poza tym są znacznie tańsze od tradycyjnych.

Siwowłosy grzesznik pokręcił zdęgowany głową.

– Nowoczesność w piekle... Kto to w ogóle wymyślił?

Nie otrzymał odpowiedzi. Nie było takiej potrzeby. Koncepcja skazania grzesznika na niekończące się przeżywanie wyekstrahowanych nieprzyjemnych chwil z minionego życia innych skazanych mogła powstać tylko w jednej diabelsko zwichrowanej głowie.

– Ech, Boruta... – westchnął Twardowski. – Ty skurwysynu! – Technik udał, że niczego nie słyszał. – Ile jeszcze?

Wyłączający ostatnią wtyczkę bies spojrzął na czytnik zamontowany nad drzwiami celi.

– Dziś puściłem dopiero trzysta piętnasty seans. Ma pan przed sobą jeszcze dużo odcinków. Kilka tysięcy. Prawie jak w brazylijskiej telenoweli – zażartował.

Twardowskiemu nie było do śmiechu.

Jajko

Jaskinia była duża i mroczna. Jedyne źródło światła stanowiła łożowa świeca, choć bliższe prawdy okazałoby się stwierdzenie, że bardziej kopciała, niż świeciła. W nieznacznie tylko rozproszonych ciemnościach dawało się zauważyć dwie sylwetki – niską i krępą oraz zdecydowanie wyższą i szczuplejszą. Obie pochylały się nad upieczonym nad ogniem sarnim udźcem. Jaskiniowe echo niesło dookoła zwielokrotnione mlaskania i towarzyszące oblizywaniu tłustych palców cmoknięcia.

Uczta trwała w najlepsze, gdy niższa z postaci niespodziewanie donośnie beknęła. Wyziew zgasił świecę. Wyższa i szczuplejsza osoba w nagle zapadłych ciemnościach nie trafiła z kolejnym kęsem do ust i wsadziła go sobie do oka.

– Gimli! – W jaskini rozległ się pełen oburzenia okrzyk.

– Co? – Wystraszył się krasnolud i niezbyt przytomnie zapytał: – Kto tu?

– To ja!

Na czole Gimlego pojawiła się poprzeczna bruzda, która mogła świadczyć o głębokim zamyśleniu. Dobrze, że nie było jej widać w ciemnościach, bo skąpemu w urodzie obliczu krasnoluda uroku z pewnością nie dodawała.

– Nie! – oznajmił po chwili zastanowienia Gimli. – Ja to ja, więc ty nie możesz być ja!

– Jestem Alagoln – zdenerwował się człowiek, który miał wyraźne problemy z poprawną artykulacją własnego imienia. Po części wynikało to z faktu, że kęs sarniego mięsa wreszcie trafił do ust. W dużej mierze jednak miało to związek z pewną mieszanką ziół, którą wraz z kompanem wypalił chwilę przed posiłkiem.

W jaskini rozległ się suchy trzask, na mgnienie oka zablęśta i zgasła iskra. Kilka trzasków i kilka mgnień oka później jedna z kolejnych iskier trafiła na hubkę, rozjarzyła się i nieśmiały płomyk przeniesiony został na knot świecy. Tam wyraźnie się ożywił i pojaśniał, choć znowu bardziej kopcił, niż świecił. Z mroku wyłoniły się dwa oblicza – ludzkie i krasnoludzkie. Były do siebie niepodobne, choć wnikliwy obserwator zauważyłby pewną cechę wspólną – wcinający sarninę kompani mieli przekrwione i wyraźnie zaszklone oczy.

– Czyli mówisz, że jesteś Alagoln? – zapytał Gimli, przyglądając się człowiekowi. – Znam twojego brata bliźniaka. Nazywa się Aragorn, ale ty chyba sam wiesz o tym najlepiej.

Człowiek popatrzył na niego tępym wzrokiem, bezskutecznie próbując zrozumieć wypowiedź sprzed chwili.

– Co ty pieprzysz? – zapytał, nie potrafiąc ogarnąć wszystkich jej implikacji.

– Skoro nawiązałeś do pieprzenia... Masz może pieprz? Strasznie mdła ta sarnina.

– Nie mam.

– A wiesz może, gdzie rośnie?

– Co rośnie?

– Pieprz!

– Sam się pieprz!

Po tej krótkiej wymianie uprzejmości w jaskini zapadła cisza. Długo jednak nie trwała.

– Strasznie mdła ta sarnina – stwierdził Aragorn.

– No! – zgodził się krasnolud. – Już gdzieś taką opinię słyszałem.

Wkrótce przyczyna niesatysfakcjonujących doznań kulinarnych ostatecznie znikła w żołądkach.

– Podjadłem! – podsumował ten fakt jakiś czas później człowiek.

Wyrwany ze stuporu krasnolud rozejrzył się zaszklonymi oczami i stwierdził:

– Nie, to ja podjadłem. Ktoś ty?

Zdegustowany Aragorn pokręcił głową.

– Co też ziola robią z krasnoluda! – zawołał, widząc stan przyjaciela. – Idę się wysikać – oznajmił, wstając ze stęknięciem i łupnięciem.

To pierwsze wyrwało mu się z ust w reakcji na ból zasiedziały w niewygodnej pozycji nóg. To drugie było reakcją na kontakt głowy ze skalnym stropem. Jaskinia okazała się wcale nie taka wielka, jak się to wcześniej mogło wydawać.

– Och, na zwiędłą kuśkę Saurona! – zaklął poszkodowany, rozcierając bolące ciemię.

Pogrążony w kolejnej zadumie Gimli nie zareagował.

Aragorn na nieco chwiejnych nogach wygramolił się z jaskini i odetchnął świeżym powietrzem. Rozejrzył się dookoła, ale niczego ciekawego nie zobaczył. Dostrzegł natomiast drzewo i uznał, że to dobry obiekt do olania. Podeszedł do pnia i zaczął gmerać w okolicy poniżej pasa w wiadomych celach.

– Hej! – Tubalny głos ostudził jego zapędy. – Co ty chcesz zrobić?

Człowiek zadarł głowę i spojrzał w sękaty oblicze wylaniające się z pnia powyżej jego głowy. Zaniemówił z wrażenia, gdy dotarło do niego, że stoi naprzeciw gadającego drzewa.

– Lepiej schowaj ten interes, bo jak poczuję moc na korze, to się wkurwię!

– Ale jaja! – Aragorn odzyskał głos. – Gadające drzewo.

– Nie jestem drzewem! – ofuknął go zdegustowany rozmówca. – Jestem Entem, pasterzem drzew.

Człowiek odszedł kilka kroków w bok i załatwił potrzebę na pobliską skałę, kręcąc bez przerwy głową w geście niedowierzania. Jakiś czas później wtarabanił się do jaskini. Niepomny niedawnych doświadczeń znów przydzwonił głową w skalny strop.

– Kto tu? – Krasnolud zapytał podejrzliwie w reakcji na hałas, który na moment przerwał nabijanie fajki. Jego zaszklone oczy po chwili rozbiegania zatrzymały się na obliczu człowieka. – Ach, to ty, Alagolnie – rozpoznał kompana. – Zapalisz ze mną?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Bo po twojej nowej mieszance ziół dzieją się dziwne rzeczy.

– Jakie?

– Na przykład gadają do mnie drzewa.

– Pieprzysz!

– Nie, nie mam pieprzu.

– A wiesz, gdzie rośnie?

– Nie mam pojęcia.

– Hmm... Już gdzieś to słyszałem – zadumał się krasnolud i dokończył nabijanie fajki. – Ja tam nie gadam z drzewami po ziołach. Mnie się tylko po nich jeść chce. Mam taką, jakby to powiedzieć... gastrofajkę. Ale ty jesteś ludź, może reagujesz inaczej.

Aragorn próbował ogarnąć koncepcję różnego oddziaływania wkładu fajki w zależności od rasy palącego, ale poddał się już po chwili, gdy do jego nosa dotarł specyficzny dym.

– Daj się sztachnąć! – powiedział i wyciągnął rękę po fajkę niepomny swych obiekcji sprzed chwili.

Przez jakiś czas fajka krążyła między przyjaciółmi, rosło zadymienie jaskini, proporcjonalnie zwiększała się także błogość palących.

– Tak w ogóle to odwołuję swoje zastrzeżenia – oznajmił w pewnym momencie Aragorn. – Susz pierwsza klasa. Skąd go wytrzasnąłeś?

Krasnolud wzruszył ramionami.

– Była kiedyś taka bitwa. Aż pięć armii się napieprzało... – Gimli na chwilę zawiesił głos. – Ty, a pieprzu nie masz...?

– Nie.

– A nie wiesz...?

– Nie wiem.

– Szkoda.

– I co z tymi armiami?

– No, napieprzały się. I czarodzieje też tam byli. Machali różdżkami, pluli ogniem i mamrotali zaklęcia. Takie tam, abrakadabra, hokus-pokus, chuje-muje. Zresztą nie znam się, nie będę się wymądrzał. W każdym razie skazili magią ziemię, podlała tę ziemię krew ludziów, orków, elfów i krasnoludów. Przez pierwszy rok nic na niej nie wyrosło. Mówię ci, pył tylko, popiół i kurz. A potem pojawiła się taka niepozorna roślinka. Liście takie palczaste miała, aromatyczne. Pomyślałem, że ususzę i spalę.

Aragorn aż się zatchnął, słysząc genezę ziół wypełniających cybuch.

– Stary! Ty jesteś nienormalny! Palisz nieznanne zielsko? Nie boisz się efektów ubocznych?

Gimli wzruszył ramionami, wcale nieobrażony posądzeniem o nienormalność.

– Trzeba być otwartym na nowe – odparł filozoficznie. – Poza tym krasnoludy są twarde, byle susz im nie zaszkodzi.

– Ale... – Człowiek nadal nie mógł ogarnąć lekkomyślności przyjaciela.

– Och, już się tak nie egzaltuj! A ludzie to niby lepsi w tej kwestii? – Gimli spojrzął na Aragorna spode łba.

– O co ci konkretnie chodzi?

– O jajko.

– Jajko?

– Tak, właśnie!

– Nie rozumiem. – Człowiek był wyraźnie zbity z tropu.

– No to pomyśl sobie, Alagolnie, tak spokojnie, po kolei. Jesz jajko?

– Jem.

– Smakuje ci?

– Tak.

– I świetnie! Jesz je, bo wiesz, że jest dobre. Wiesz natomiast, bo tak powiedziała ci matka, karmiąc cię nim w dzieciństwie. A twoja matka wiedziała to od swojej matki. Twoja babka dowiedziała się od swojej i tak dalej pokoleniami wstecz. I jeśli byśmy cofali się w czasie dostatecznie długo, to dotrzemy do człowieka, który jako pierwszy z wszystkich ludziów spróbował, jak smakuje jajko.

– No... – Tym razem Aragorn sprawiał wrażenie, że z trudem, ale nadąza za tokiem rozumowania krasnoluda.

– I w tym momencie dochodzimy do sedna mojego wyводу. – Gimli zaciągnął się solidnie i wypuścił z ust kłęb siwego, specyficznie pachnącego dymu. – Zastanów się, Alagolnie, co też przyświecało w głowie owemu człowiekowi, że odważył się na taki krok. Moje suszenie i spalenie jakiejś roślinki to lipa wobec gościa, który zobaczył, jak ptak znosi jajko i pomyślał: „Hej! To wypadło z kurzej dupy. Ciekawe, jak smakuje?”.

Podróż

Claarhioun ostrożnie ułożył odwłok na wyścielanej skórą labingów podstawce. Z przyjemnością stwierdził, że od czasu ostatniej podróży jaźni segmenty jego ciała się wyraźnie wydłużyły. Jeszcze raz, góra dwa i poprosi o dłuższą podstawkę. To automatycznie wiązało się z otrzymaniem promocji i przepustki na wyższy poziom rodowego kopca. Nie mógł doczekać się tej chwili.

Claarhioun od dawna snuł senne marzenia o wyglądzie wysoko położonych tuneli, o bardziej przestronnych jamach dla podróżników, a także o pięknych samicach z obsługi technicznej. Czwarty poziom kopca to było nie lada osiągnięcie. Zyskiwał na nim szereg przywilejów ze zwiększeniem limitu prokreacyjnego włącznie. Moment, w którym uzyska pozwolenie na zapłodnienie dziesięciu, zamiast dotychczasowych dwóch jaj, zbliżał się wielkimi krokami i wywoływał rozkoszne drżenie szczękoczułek. Jeszcze trochę – jedna lub dwie podróże. Nic wielkiego, poradzi sobie z tym bez trudu. W końcu nie był nowicjuszem. Przenosił jaźni do organizmów innych gatunków już wielokrotnie i miał w tej kwestii spore doświadczenie.

Claarhioun nieznacznie napiął odwłok i poruszył nim najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Leżał prawidłowo, więc ewentualne mimowolne ruchy podczas podróży jaźni nie wpłyną na jakość połączenia. Jedna z wyścielających podstawkę skór zaszeleściła. Przyjrzał się jej dolną parą oczu i sapnął zadowolony. Po kolistej, białej łacie rozpoznał swoje trofeum zdobyte przed dwoma cyklami godowymi. Osobiście upolował tego labinga, a teraz miał pod odwłokiem namacalny dowód triumfu. To był niewątpliwie dobry znak przed dzisiejszą podróżą.

Z westchnieniem wypuścił powietrze z pełnych płucotchawek i oparł się o tylną część siedziska. Ubarwiona na brunatny kolor samica zbliżyła się i na przyzwalające kiwnięcie górnymi odnóżami rozpoczęła realizację swoich zadań. Najpierw ostrożnie przykleiła elektrody stymulacyjne na tyle głowy Claarhiouna. Następnie zasłoniła mu fasetkowe oczy taśmowym ekranem emisyjnym. Krótkie, oszczędne ruchy dopasowały urządzenie do ich rozstawu i wielkości. Rozległ się cichy sygnał dźwiękowy, taśma rozjarzyła się symbolami kodów startowych. Claarhioun poczuł, jak do wszczepów na środku jego czoła podłączony został przewód odbiorczy. Drugi koniec przewodnika ginął wewnątrz rejestratora wrażeń. Pisk samicy technika oznaczał, że wszystko zostało przygotowane do startu. Pozostało jedynie wybrać cel wyprawy. Trzeba było zrobić to szybko, bo podłączenie do rejestratora wiązało się ze skutkiem ubocznym w postaci drętwienia szczękoczułek. Gdyby podróżnik wahał się zbyt długo, nie miałby szans na wyartykułowanie dokonanego wyboru.

– Kwadrant drugi dolny galaktyki – pospieszenie zarządził Claarhioun. – Słońce klasy średniej. Planeta ze standardowym ciężeniem – zawęził dalej obszar poszukiwań. – Liczne gatunki zwierzęce, wysoki stopień zależności międzygatunkowych.

- Czterdzieści dziewięć planet, podróżniku – oznajmiła samica technik.
- Dwudziesta siódma – wybrał bez chwili zwłoki.

– Złożoność zależności międzygatunkowych w najwyższym przedziale. Liczba gatunków życia zwierzęcego nieznana dokładnie, wstępnie oszacowana na kilkadziesiąt tysięcy.

– Och! – wyrwało się Claarhiounowi, gdy usłyszał kolejne dane. Nie spodziewał się aż tak obfitej różnorodności przedstawicieli fauny. Czując coraz silniejsze drętwienie szczękoczułek, wybrał na chybił trafił: – Gatunek osiemset dwanaście.

Samica technik wprowadziła kod startowy i uruchomiła sekwencję przeniesienia. Na tym kończyły się jej zadania. Opuściła jamę podróżnika żegnana cichym buczeniem rejestratora wrażeń.

Podróżnik zaś uwalniał właśnie jaźń i kierował ją przez lata świetlne kosmicznej pustki do określonego przed momentem celu. Mknął przez próżnię kierowany strumieniem ekranu emisyjnego – pokonywał w mgnieniu fasetkowego oka gigantyczne odległości. Swoistego rodzaju przelot trwał sześć uderzeń jego ośmiokomorowego serca. Zasiedlenie przedstawiciela gatunku skatalogowanego pod numerem osiemset dwanaście, na dwudziestej siódmej planecie o standardowym ciężeniu, w drugim dolnym kwadrancie galaktyki odbyło się bez najmniejszych problemów. Claarhioun osiągnął cel i przejął całkowicie kontrolę nad umysłem nosiciela.

Postanowiłem, że od dziś osiemset dwanaście będzie moją szczęśliwą liczbą. Wybierałem docelowy gatunek pod presją czasu, na chybił trafił, ale chyba lepiej tego zrobić nie mogłem. Gdzież indziej ja, inteligentny ze wszech miar owad, czułbym się lepiej niż w ciele innego owada? Mój obecny nosiciel oczywiście różnił się ode mnie budową, ale przez analogie – wcale nie tak nieliczne – do własnego szybko się w nim odnalazłem. Krótszy i bardziej pękaty odwłok – żaden problem! Silniej umięśnione odnóża tylne – czemu nie? Może sobie poskaczę, jak najdzie mnie ochota. Słaby wzrok – trudno, z tym też sobie poradzę.

Raz zasiedliłem bezokiego nosiciela. Musiałem wówczas odbierać otaczający mnie świat specyficznym zmysłem, który można porównać do nadajnika i jednocześnie odbiornika fal radiowych. To było dziwne przeżycie, długo musiałem się do tego adaptować, ale przecież ostatecznie wykonałem zadanie. Skoro udało mi się dokonać tego na ślepo, to tym bardziej sprostam wyzwaniu, mając słaby wzrok. Zresztą od czasu podróży na Bootario śmiem twierdzić, że nie ma dla mnie rzeczy nie do zrobienia. Skoro osobnika o pionowej orientacji ciała – poruszającego się skokowo na jednej sprężynującej kończynie – zasiedliłem tam jaźnią i bez trudu pokierowałem, to chyba nic nie jest mnie w stanie zaskoczyć. Z pewnością nie tym razem! Cóż może być trudnego w kierowaniu owadzim osobnikiem? Trzy pary odnóży, szczękoczułki, żwacze... Wszystko na swoim miejscu, choć nieco inne.

Rozejrzałem się wokół i mina trochę mi zrzedła. Nie załamalem się oczywiście, ale nie ukrywam, że otoczenie było dziwne i zdeprymowało mnie nieco. Znalazłem się bowiem pośrodku skupiska dziwnych walcowatych tworów. Ich średnica nie należała do wielkich, mogłem każdy z nich z powodzeniem objąć pierwszą parą odnóży. Co innego, jeśli chodzi o długość. Mogłem tylko snuć przypuszczenia co do jej wartości, bo końce walców nie dawały się zobaczyć. I to chyba nie za sprawą mojego nie najlepszego wzroku. Każdy twór był elastyczny. Kiedy naparłem na jeden z nich z całych sił, pochylił się na moment, po czym powrócił do poprzedniej pozycji.

Cienkie walce wyrastały z podłoża jeden przy drugim. Przestrzeń między nimi miała niewielkie rozmiary, ledwo mogłem się precyzować. Zaraz jednak zorientowałem się, że na moim ciele – głównie na odnóżach, ale nie tylko – znajduje się mnóstwo małych tworów przypominających zadziory. Idealnie

nadawały się do zaczepiania o walce i tym samym hamowały mój ruch wstecz. Przy ich wykorzystaniu elastyczność mijanych przeszkód sprawiała, że prześlizgiwałem się od jednej wolnej przestrzeni do drugiej bez większych problemów, i nawet szybko. Poruszanie się w różnych kierunkach wymagało niewiele wysiłku i szło mi całkiem zgrabnie.

Przystosowanie ciała do tego rodzaju ruchu nasuwało jeden wniosek – znajdowałem się w środowisku naturalnym dla obecnego nosiciela mojej jaźni. Co najmniej dziwnym, ale z drugiej strony... W porównaniu z zielonym oceanem Livranii albo dusznymi labiryntami Locorów z planety Tatloos IV nie było takie złe. Cienkie walce jeden za drugim i jeden obok drugiego zaskakiwały, ale bez przesady. W końcu podróżnik musi być przygotowany na najróżniejsze niespodzianki po przeniesieniu jaźni do zupełnie obcego osobnika na równie obcym świecie. W takich momentach kluczową rolę odgrywała zdolność do szybkiego przystosowania się do nowych warunków i podejmowania odpowiednich decyzji. Z tym zaś nie miałem najmniejszych problemów.

Obrałem pierwszy lepszy kierunek i ruszyłem przez gęstwą cienkich walców. Sunąłem płynnie między nimi, wykorzystując możliwie jak najwięcej zadziorów mojego ciała. Mimo upływu czasu i pokonywanej odległości w bezpośrednim otoczeniu nie zachodziły żadne dostrzegalne zmiany. Gęstwa walców nie przerzedziła się ani trochę. Zatrzymałem się, przerywając na chwilę bezowocną wędrówkę. Przysiadłem na tylnych odnóżach, gładząc je środkową parą. Nagle przyszło olśnienie. Przecież nie bez powodu moje tylne odnóża są tak potężne i silnie umięśnione. Krótki odwłok też przecież o czymś świadczy! Już na samym początku mojej obecności w tym ciele doszedłem do wniosku, że dzięki temu mogę wysoko skakać. Może uda mi się odbić na tyle mocno, aby wznieść się ponad szczyty walców? Miałem nadzieję, że tak, bo wówczas mógłbym ogarnąć wielkość ich skupiska. To był doskonały pomysł i nie zwlekałem z wprowadzeniem go w życie.

Odszukałem miejsce, gdzie walce ustawiły się w miarę pionowo, i skoczyłem. Z jednej strony było to zachwycające doznanie, ponieważ w życiu bym nie przypuszczał, że tak mała istota, jak mój obecny nosiciel, potrafi wzbic się tak wysoko. Z drugiej jednak strony wyniki mojego skoku były rozczarowujące – co prawda znalazłem się ponad szczytami walców, ale ich krańca nie zdołałem zobaczyć. Jak okiem sięgnąć otaczało mnie morze cienkich falujących tworów o kolistych przekrojach. Nigdzie nie dostrzegłem nawet małej przerwy w tej elastycznej gęstwie.

Znów przysiadłem na tylnych odnóżach, zastanawiając się, co dalej. W ostateczny sukces mojej podróży nie wątpiłem ani przez moment. Obawiałem się jednak, że tym razem niewiele wniosę wiedzy na temat życia obcego gatunku zdominowanego moją jaźnią. Cóż, nie każda podróż, mimo najszczerzych chęci, zasługiwała na miano udanej.

Zaciekawilo mnie ciepło podłoża. Przyjrzałem mu się dokładniej. W porównaniu z walcami było jaśniejsze i bardziej miękkie, choć je również cechowała elastyczność. Nachyliłem się ku niemu i poczułem odurzający zapach. Był tak intensywny i tak miły dla zmysłu powonienia mojego nosiciela, że aż zastygłem w bezruchu. Próbowałem przeanalizować jego spektrum i zidentyfikować choć kilka zawartych w nim lotnych substancji. To było trudne zadanie i chyba właśnie tym muszę wytłumaczyć chwilę dekoncentracji.

Istota, w której ciele się znajdowałem na moment odzyskała zdolność do własnych ruchów. Kiedy ponownie przejąłem nad nią kontrolę, stwierdziłem, że intensywnie wgryzam się w podłoże. Wyciekająca z niego ciemna, gęsta ciecz miała metaliczny posmak. Czy to było normalne zachowanie mojego nosiciela? Czy w ten sposób się odżywia? Czy pod podłożem znajdowało się coś wartego

zobaczenia? Miałem mnóstwo pytań wobec zaistniałej sytuacji, ale na żadne z nich nie zdążyłem poznać odpowiedzi. Dalsze wydarzenia nabrały bowiem zawrotnego tempa.

Najpierw przez podłoże przebiegła seria wstrząsów, a tu i ówdzie powstały różnej wielkości fałdy. Następnie gęstwa cienkich walców pochylała się i pomiędzy nie zagłębiły się wielkie trójkątne struktury, ustawione równoległe do siebie. Dobrze widziałem trzy centralne – dwa boczne mniej wyraźnie. Być może było ich jeszcze więcej, ale z powodu mojego słabego wzroku mogłem się w tej kwestii mylić. Trójkątne struktury wyglądały na twarde, połyskiwały. Z wyraźnym drżeniem opadły aż do samego podłoża i zaczęły jednocześnie przesuwac się po nim. Towarzyszył temu głośny szum. Ledwo zniknęły, pojawiły się ponownie i proces szurania po podłożu wśród rozgarnianych na boki walców się powtórzył. I znowu. Za każdym razem rozgarniany obszar walców przybliżał się do mnie, co nie wróżyło niczego dobrego.

Rzuciłem się do ucieczki, ale niestety zrobiłem to za późno. Kolejne szurnięcie było jednocześnie moim ostatnim. Jedna z trójkątnych struktur zagroziła mi drogę. Zanim zdążyłem przemieścić się w bok, zostałem przez nią brutalnie zgarnięty i wyleciałem jak pocisk z walcowatej gęstwy.

Być może przeżyłbym w ciele nosiciela, równie dobrze jednak nie. Wolałem nie ryzykować upadku nie wiadomo gdzie i z jakiej wysokości. W trybie awaryjnym zerwałem połączenie z przedstawicielem gatunku osiemset dwanaście. Moja uwolniona jaźń w mgnieniu fasetkowego oka pomknęła przez kosmiczną pustkę drogą powrotną.

Cóż... – pomyślałem, wnikając do własnego ciała. Tej podróży do udanych zaliczyć raczej nie będę mógł.

Na werandę przed dom wyszedł nastolatek z bujną czupryną jasnych, kręconych włosów. Przeciągnął się, ziewnął i niewyspanymi oczami rozejrzał się po trawniku. Zauważył gazetę dostarczaną przez roznosiciela codziennie za wyjątkiem weekendów. Podnosząc zafoliowany egzemplarz, spostrzegł ruch. W bocznej części trawnika siedział niewielki, łaciaty pies, który intensywnie drapał się za uchem.

– Ech, Reksio... – westchnął chłopak. – Stary kundel, a głupi. Znow przyniosłeś pchły z jakiejś nocnej włóczęgi?

Pies zignorował właściciela i drapał się zawzięcie bez chwili przerwy.

Różdżka

Harry wrócił do swojej komnaty w kiepskim nastroju. Czuł po równo: złość, rozgoryczenie i żal. Zły był na kolegów z klasy. Egoiści, wyżsi i silniejsi, mocniej rozpychający się łokciami – tak mógłby ich ogólnie scharakteryzować. Mieszanina tych cech dała o sobie znać na lekcji magii z nowym profesorem. Wszyscy przepychali się do przodu i bez pardonowo częstowali mniejszego i słabszego kolegę kuksańcami, w wyniku czego Harry wylądował w ostatniej ławce.

Rozgoryczony był z kolei za sprawą postawy nauczyciela. Wiekowy, siwowłose i siwobrody profesor w dziedzinie magii miał z pewnością niemałe doświadczenie. Problem polegał jednak na tym, że nie potrafił przekazać swojej wiedzy. Wypowiadał się w sposób chaotyczny, pełen nieistotnych dygresji, często gubił główny wątek wypowiedzi. Poza tym mówił cicho i nie wszystko dało się usłyszeć w ostatniej ławce. Tym samym niezwykle ważny temat zajęć o tworzeniu czarodziejskiej różdżki omówiony został na poziomie niezadowolającym Harry'ego.

Kroplą, która przelała czarę jego goryczy, okazała się forma zadanej pracy domowej. Profesor chciał, aby każdy uczeń wykonał swoją pierwszą różdżkę. Ponieważ proces powstawania magicznego narzędzia był żmudny i skomplikowany, nauczyciel podzielił się gotowym wzorcem postępowania w formie skryptu. Uniósł w górę obie dłonie i nieco skrzekliwym głosem wykrzyknął zaklęcie:

– Instrukcjus patykus machen!

Wówczas skrypt pojawił się w zeszytach uczniów. Niestety zasięg profesorskiej magii nie objął ostatniej ławki i Harry nie otrzymał instrukcji. Musiał stworzyć swoją pierwszą różdżkę na podstawie tego, co usłyszał na lekcji, a to w kwestii jakości zostawiało wiele do życzenia. Nie miał pewności, czy poradzi sobie z czekającym go zadaniem.

Żał natomiast czuł Harry po tym, jak koledzy z klasy i szkolny woźny potraktowali go przy magazynie surowców magicznych. Tu znów miały miejsce przepychanki i znów jako drobny, chudy i słaby wylądował na końcu kolejki. Zabrakło dla niego dębu, nie dostał bukowej szczapy, nie załapał się nawet na modrzew. Została mu ostatnia, pokrzywiona jak nieszczęście gałąź brzozy. Wręczający mu ją woźny stwierdził, że najlepiej nadawałaby się na rozpałkę do kominka i że różdżki z niej nie będzie, a czarodziejskiej to już tym bardziej.

Te wszystkie wydarzenia legły u podłoża kiepskiego nastroju Harry'ego. Młody adept magii po powrocie do komnaty położył brzożową gałąź na biurku. Przez głowę przebiegło mu pytanie, czy aby nie pójść za radą woźnego i nie wrzucić jej do kominka. Nie poszedł. Przez jakiś czas przyglądał się gałęzi z ponurą miną. Potem jednak wzruszył ramionami. W końcu co innego mu pozostało? Musiał wziąć się do roboty. W szkole magii praca domowa była jednym z najważniejszych obowiązków ucznia – nie mógł pozwolić sobie na jej nieodrobienie. Wolał zrobić cokolwiek, nawet nieudaną różdżkę, niż przyjąć na następną lekcję magii z pustymi rękoma. Podszedł do biurka, chwycił gałąź i przez chwilę gładził jej nierówną, szorstką powierzchnię.

– Dobra! – westchnął. Samo się nie zrobi.

Harry w zeszłym semestrze odkrył przejście do innej, dużo mniej magicznej części świata. Prowadziło z kąta jego pokoju na małe podwórko za warsztatem stolarskim. Zaprzyjaźnił się z emerytowanym właścicielem traktującym go jak wnuka, którego w rzeczywistości nigdy się nie doczekał. Młody adept magii odwiedzał sympatycznego staruszka przynajmniej raz w miesiącu i zawsze były to chwile pełne ciepła i serdeczności. Kto, jak nie stolarz, miałby mu pomóc w wykonaniu pracy domowej? Harry nie wahał się nawet przez moment. Skorzystał z przejścia i już po chwili tonął w niedźwiedzim uścisku przyszywanego dziadka.

– A to ci niespodzianka! – ucieszył się staruszek. – Co też sprowadza do mnie młodego magika?

Harry wiedział, że na starość ludzie gubią gdzieś krytycyzm i stają się infantylni. Pan Edmund był tego idealnym przykładem. Bez zmużenia oka, całkowicie na poważnie przyjął fakt, że jego gość pochodzi z innej części świata i uczy się magii w specjalnej, magicznej szkole.

– Dzień dobry, panie Edmundzie! – przywitał się grzecznie chłopiec. – Mam taki mały problem z pracą domową – dodał, wskazując na trzymaną w ręku brzozową gałąź.

Emerytowany stolarz spojrział na nią, pokręcił głową i głośno zacmokał.

– Nie wiem, co chcesz zrobić z tym konarem, ale cokolwiek byś nie chciał, raczej nic z tego nie będzie.

– Ale... – Harry miał nietęgą minę. – Muszę z tego zrobić różdżkę.

– No, skoro musisz... – Uśmiechnął się Edmund. – Chodźmy do warsztatu!

W warsztacie poszły w ruch różnorodne narzędzia. Najpierw brzozowa gałąź została okorowana. Potem pan Edmund pilnikiem zdzierakiem usunął sęki i z grubsza zniwelował nierówności. Małą, ale ostrą piłką skrócił gałąź z grubszego końca, po czym frezarką ów koniec zaokrąglił. Podłużne, naturalne pęknięcie uszczelniał stolarskim kitem. W oczach Harry'ego to, co robił, zasługiwało na miano czarów, choć chłopiec dobrze wiedział, że nie było w tym ani krztyny prawdziwej magii. Praca nad gałęzią trwała ponad godzinę. W końcowym etapie pan Edmund przeciągnął tu i ówdzie płomieniem opalarki, nadając swemu dziełu więcej barw, oraz starannie wygładził rękojeść drobnziarnistym papierem ściernym.

– No! – stwierdził zadowolony z efektów. – Różdżka jak ta lala! – dodał po chwili, nacierając swe dzieło nasączoną olejem szmatką.

Harry stał oniemiały i z zachwytem patrzył na coś, co niedawno było zwykłą brzozową gałęzią, a obecnie stanowiło najwspanialszą różdżkę na świecie. Ostrożnie wziął ją do ręki, oglądał z każdej możliwej strony, pod każdym możliwym kątem.

Pan Edmund uśmiechnął się do chłopaka.

– A jednak się myliłem. Coś z tego konara wyszło.

– No! – Harry z wrazenia wciąż jeszcze nie odzyskał w pełni władzy nad językiem.

– Powiedz mi, chłopcze... – Emerytowany stolarz przerwał przedłużającą się ciszę. – Co ty tak właściwie z tym obrobionym konarem będziesz robił?

– Różdżka posłuży mi do rzucania zaklęć. Będę dzięki niej precyzyjnie ogniskował magiczną moc we wskazanym miejscu. Kumulacja siły pozwoli mi uzyskać zamierzony efekt szybciej i łatwiej.

– Ale co konkretnie będziesz robił?

– No, różne takie... – Harry się stropił, bo tak naprawdę jeszcze nie zastanawiał się nad praktycznym wykorzystaniem swojego nowego narzędzia. – Na przykład będę mógł przemieszczać przedmioty z miejsca na miejsce. Będę mógł coś zamrozić albo sprawić, że z czubka różdżki tryśnie ogień.

Słyszac o ostatnie, pan Edmund zastęł w bezruchu z wybałuszonymi oczami i szeroko rozdziawioną buzią.

– Co? – Harry przestraszył się reakcji staruszka.

– Chcesz mi powiedzieć, że konar... że ogień... – Pan Edmund aż się zatchnął i nie skończył zdania. Był mocno poruszony, mimowolnie drgał mu podbródek. – Potrafisz sprawić, że... Królu złoty! – Edmund zamknął chłopaka w pełnym szczęścia uścisku. – Harry! Nie wracaj do szkoły. Zostań tu i otwórz gabinet. Z taką umiejętnością będziesz miał kilometrowe kolejki potrzebujących pomocy mężczyzn dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Harry spojrział na swojego przyszywanego dziadka ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem – powiedział niepewnie.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę. – Pan Edmund na nowo odzyskał młodzieńczy wigor. – Obiecuj mi tylko jedno: ja będę twoim pierwszym pacjentem.

– Pacjentem?

– Obiecujesz?

– Tak, zgoda. – Harry był coraz bardziej skonfundowany.

– Cudownie! – Pan Edmund z entuzjazmem klasnął w dłonie. – Zaczekaj tylko moment, muszę wykonać jeden telefon.

Po chwili z przylegającego do warsztatu pokoju dobiegł stłumiony głos:

– Halo, Irenka? Czy przyszłabyś do mnie na herbatę i ciastka z konfiturami dziś wieczorem? Czy godzina osiemnasta byłaby odpowiednia? Znakomicie, sąsiadko! Serdecznie zapraszam!

Po chwili rozanielony emerytowany stolarz wrócił do warsztatu i powiedział:

– No dobra, Harry. Postaraj się i użyj swojej magii. Spraw, że dzisiaj o osiemnastej konar znów zaplonie!

Nfi

Muzyka na wejście była głośna i elektryzująca. Z założenia miała przyciągać uwagę i niewątpliwie to robiła. Elektronicznie przetworzone dźwięki trąbki najpierw kłuły w uszy, po czym błyskawicznie przechodziły w miłą, ale wciąż dynamiczną melodię. Towarzyszyła im holograficzna czołówka, podczas której wirtualna kamera przelatowała zapętlonym torem pośród tysięcy światów Drogi Mlecznej. Jej początkowa zawrotna prędkość malała, aż wreszcie obraz zatrzymał się na ziemno-wodnej planecie. Linie brzegowe kontynentów miały charakterystyczny układ i nikt z oglądających nie mógłby mieć wątpliwości, że patrzy na Ziemię. Na tle majestatycznie obracającego się globu załśniły wielkie litery: NFI. Muzyka ucichła, obraz na moment ściemniał, by w okamgnieniu ponownie pojaśnić.

Z holowizyjnych rzutników wyłoniło się nowoczesne studio z chromowanym blatem szerokiego biurka i dwoma stanowiskami spikerskimi. Pierwsze zajmowała długowłosa blond piękność. Wydatne usta uszmkowane krwistą czerwienią uśmiechały się kusząco. Wielkie oczy w kształcie migdałów lśniły błękitem, zaś nieznacznie zadarty nos nadawał całej twarzy lekko filuterny wyraz. Nieskazitelnie biała bluzka opinała okazały biust. Dwa odpięte górne guziki odsłaniały początek intrygującego rowka między piersiami. Kobieta była kwintesencją piękna i elegancji, co sprawiało, że większa część męskiej widowni nie mogła oderwać od niej wzroku.

Po jej lewej stronie siedział obiekt westchnień wielu pań. Przystojny, opalony na lekki brąz brunet miał zabójcze spojrzenie godne najlepszych kinowych amantów. Spod czarnych jak smoła wąsów w czarującym uśmiechu lśniły białe jak śnieg zęby. Idealnie skrojona marynarka skrywała szerokie, ale proporcjonalne barki i ramiona, w których ukojenie chciałoby znaleźć tysiące kobiet.

Para holowizyjnych prezenterów skinęła lekko głowami. Po krótkim powitaniu nastąpiła prezentacja:

– Witają państwa serdecznie: Gwendolyn Mayson i Paul O'Brian.

Kobiecy głos idealnie dopełniał urodę jego właścicielki, męski baryton czule pieścił uszy słuchaczek.

– Oglądają państwo nowy program informacyjny NFI. – Uśmiechnęła się promiennie Gwendolyn.

– Ów tajemniczy skrót pozwolimy sobie rozwinąć na koniec naszego spotkania – dodał z równie czarującym uśmiechem Paul.

– Mamy nadzieję, że forma przedstawianych wiadomości przypadnie państwu do gustu – przemówiła znów kobieta.

– Dołożymy wszelkich starań, aby skrót NFI kojarzył się z kwintesencją faktów pozbawionych plotek, insynuacji i subiektywnych ocen. Przedstawienie rzetelnych informacji jest dla nas celem nadrzędnym. – Kreda programowe padło tym razem z ust przystojnego mężczyzny.

– Mamy również nadzieję, że do gustów widzów przypadniemy również my, pierwsi spikerzy w NFL. – Gwendolyn zatrzepotała długimi rękami i nieco zalotnie przekrzywiła głowę.

– Zaczynamy program! – zarządził Paul.

Z holowizyjnych rzutników ponownie popłynęła czołówka z charakterystycznym podkładem muzycznym. Chwilę potem kamera wykonała zbliżenie na wyrażającą powagę i skupienie twarzy spikerki.

– Rząd Demokratycznej Republiki Ludowej Chin ogłosił oficjalne wznowienie prac nad hybrydizacją materiału genetycznego człowieka i wybranych gatunków zwierząt. Mimo protestów światowej opinii publicznej rozpoczęły się procedury łączenia ludzkiego DNA z materiałem pochodzącym z organizmów ryby, niedźwiedzia i psa. Efekty zabiegów mają zostać ujawnione za pół roku. Chińscy naukowcy spodziewają się wyhodowania w sztucznych inkubatorach krzyżówki człowieka-makreli, człowieka-pandy i człowieka-pekińczyka.

W tle, na ścianie holostudia wyświetlane były kolejno animacje komputerowe przedstawiające domniemane efekty doświadczeń z łączeniem różnych materiałów genetycznych.

– Miejmy nadzieję – mówiła dalej Gwendolyn – że władze ostatniego państwa komunistycznego na świecie opamiętają się w porę i nie dopuszczą do zasiedlenia naszej planety przez sztucznie produkowanych mutantów. W końcu wszyscy chyba mamy już dosyć biegających po Stanach Zjednoczonych Ameryki watah spidermanów, batmanów i innych manów.

– To niewątpliwie ważny problem etyczny. – Paul płynnie przejął prowadzenie programu. – Podobnie zresztą jak sprawa awarii zakładów farmaceutycznych PanMedic Company w Toronto sprzed tygodnia – kontynuował przejętym głosem. – W wyniku zaniedbań procedur kontroli bezpieczeństwa doszło do wycieku płynnych półproduktów wykorzystywanych w syntezie leków. Skażeniu uległy zarówno gleba, jak i wody powierzchniowe. Część substancji farmaceutycznych dostała się do ujęć wody pitnej i mieszkańcy południowych dzielnic miasta zostali narażeni na kontakt ze związkami o właściwościach psychoaktywnych. Mimo szybko podjętych działań ratunkowych liczba osób, które zetknęły się z tymi chemikaliami szacowana jest na ponad dwadzieścia tysięcy. W południowej części Toronto od dnia katastrofy obserwuje się wzrost liczby irracjonalnych zachowań wśród ludzi. Odnotowano przypadki kopulacji z parkomatem, lizania kostki brukowej, strzyżenia trawników po ciemku, szczekania na samochody oraz chóralnego śpiewania przebojów Paula Anki. Władze miasta zastanawiają się nad izolacją skażonych dzielnic i rozważają wpuszczenie do wodociągów farmaceutyków znoszących działanie związków psychoaktywnych. Do chwili obecnej decyzje w tych kwestiach nie zostały jeszcze podjęte.

W trakcie wypowiedzi spikera na tylnej ścianie holostudia były wyświetlane migawki z życia codziennego Toronto. Widzowie mogli zobaczyć między innymi rząd około stu osób obejmujących się i w rytm macareny tańczących kankana. Dystyngowany starszy pan popychał patykiem koło od roweru po ulicy. Obraz z kamery przemysłowej jednego z supermarketów ukazał grupę kilkunastu ludzi, którzy w samej bieliźnie ślizgali się na brzuchach w olbrzymiej kałuży oleju rozlanej na posadzce głównej hali sprzedaży.

– Straszne! – Gwendolyn pokręciła głowę z niedowierzaniem. – To chyba największa katastrofa w historii przemysłu farmaceutycznego na świecie – stwierdziła, po czym głośno westchnęła dla podkreślenia swego przejęcia.

Może było to nieco zbyt teatralne, ale za to z pewnością wciąż pełne uroku.

– Jeżeli jesteśmy już przy temacie katastrof, to jako pierwsi pragniemy przekazać państwu najświeższe wiadomości z Syberii – mówiła znów poważnym tonem spikerka. – Reporterzy NFI najszybciej dotarli do olbrzymiego zapadliska ziemnego, które pojawiło się w środkowej części tej rozległej krainy. Na ścianie za mną mogą państwo obserwować bezpośrednią transmisję z osady Bielopawłowsk. Dziś rano zatrzęsa się tam ziemia. Przypomnę, że Syberia to obszar o zerowej aktywności sejsmicznej. Wstrząsy o sile pięciu stopni w skali Richtera były spowodowane zapadnięciem się ziemi na powierzchni ośmiuset metrów kwadratowych. Średnią głębokość leja szacuje się na osiem i pół metra. Przyczyna jego powstania pozostaje niejasna, ale według nieoficjalnego raportu wysłannika terenowego NFI, Richarda Dolmeya, katastrofa ujawniła obecność gęstej sieci podziemnych korytarzy. Tworzą one skomplikowany labirynt, wielokrotnie się rozgałęziający o ogólnym zarysie odpowiadającym kształtem skrzyżowanemu sierpowi i młotowi. Wszystko wskazuje więc na to, że świat dowiedział się wreszcie o lokalizacji słynnego, supertajnego bunkra z okresu, gdy KGB sprawowało rzeczywistą władzę na terenach ówczesnego ZSRR, a obecnie Rosji. Nie wiemy, czy bunkier został opuszczony i co zawierają jego korytarze. Miejmy jednak nadzieję, że pod naciskiem opinii publicznej władze w Moskwie nie będą chciały trzymać w tajemnicy niczego związanego z tą sprawą. – Uśmiechnęła się znacząco do holokamer Gwendolyn i skinęła głową do kolegi.

Paul rozpoczął prezentację kolejnej wiadomości:

– Sprawa Kristiny Leberwurst, szwajcarskiej emigrantki, zdążyła już podzielić mieszkańców naszego kraju. Jej zwolennicy popierają pomysł niezwłocznego nadania kobiecie obywatelstwa, uznania statusu osoby pokrzywdzonej i wypłacenia jej odszkodowania za poniesione straty cielesne i moralne. Z kolei jej przeciwnicy optują za natychmiastową deportacją i o żadnych roszczeniach nie chcą słyszeć. Wczoraj problem zyskał nowe, zupełnie niespodziewane oblicze: Kristina Leberwurst wydała bowiem oświadczenie, że jest w czwartym miesiącu ciąży, a ojciec dziecka nie istnieje. Podkreślam: nie istnieje. Przyszła matka utrzymuje, że to przykład naturalnego, spontanicznego dzieworódtwa. Klinika Ginekologii Uniwersytetu Medycznego w Portsmouth potwierdziła, że Kristina jest brzemienna, a podany przez nią poziom zaawansowania ciąży zgadza się ze stanem faktycznym. Plód zaś jest płci żeńskiej. Laboratorium analiz genetycznych tamtejszego uniwersytetu przeprowadziło też ekspertyzę porównawczą materiału genetycznego matki i płodu. Metoda polimerazowej reakcji łańcuchowej wykazała stuprocentową zgodność próbek. Mamy więc do czynienia z pierwszym w historii przypadkiem partenogenezy rodzaju ludzkiego.

Gwendolyn kolejny raz uśmiechnęła się uroczo, ukazując olśniewającą biel zębów.

– Jak widać, kobiety wiele potrafią. Szanowni państwo! – Spowaźniała w jednej chwili spikerka. – Na tym kończymy dzisiejsze premierowe wydanie programu informacyjnego NFI. Mamy nadzieję, że jego forma spodobała się szerokiej rzeszy odbiorców holowizji. Zapraszamy jutro o godzinie siedemnastej na nową porcję najświeższych wydarzeń z kraju i ze świata. Wydarzeń, wobec których nie można przejść obojętnie. Na koniec Paul spełni obietnicę złożoną na samym początku naszego spotkania i rozwinie tajemniczy skrót NFI. Mówiła do państwa Gwendolyn Mayson, żegnam się ciepło i oddaję głos koledze.

Dwie sekundy później Paul O'Brian chwytającym za kobiece serca barytonem oznajmił:

– Oglądali państwo program informacyjny NFI, News for Idiots.

Lustereczka

Królowa na co dzień mocno starała się uchodzić za dystygowaną, zrównoważoną i poważną damę. Nawet jeśli coś ją rozbawiło, uśmiechała się jedynie półgębkiem, zamiast parskać perlistym śmiechem. Nawet jeśli się gdzieś spieszyła, szła powolnym krokiem, majestatycznie kołysząc rozłożystymi biodrami, niewzruszona rzucanymi ukradkiem pożądlivymi spojrzeniami męskiej części służby. Zainteresowanie, czy momentami wręcz uwielbienie, z ich strony traktowała jako coś naturalnego. Była świadoma swej urody, więc związane z tym hołdy przyjmowała jako rzecz ze wszech miar oczywistą, wręcz trywialnie codzienną. Występującym na królewskim dworze muzykantom, komediantom czy akrobatom oszczędnie kiwała głową, nawet jeśli ich występy należały do nietuzinkowych. Mimo że na widok niektórych rozebranych do pasa atletów żywiej biło jej serce, niczego nie dawała po sobie poznać, a ich popisy również kwitowała kilkoma skinieniami głowy z poważną miną. Starła się być arystokratką tak bardzo, jak to tylko możliwe. Wszystko w jej pozie i minach cechowało się wyrachowaniem, spójnym z koncepcją bycia najpiękniejszą, najmądrzejszą i najważniejszą kobietą w królestwie.

Tego ranka ze szczególną trudnością przyszło jej zachować ową wystudiowaną, dopracowaną w najmniejszych szczegółach pozę. Ledwo mogła usiedzieć na krześle podczas wykwintnego śniadania, co chwila łapała się na tym, że na stole wystukuje palcami niezbyt rytmiczne werble albo pod owym stołem z niecierpliwością przebiera nogami. Ze wszystkich sił starała się zachowywać godnie i wyniośle, ale mimo starań jej ekscytacja nie umknęła uwadze małżonka.

– Coś się stało, moja droga? – zapytał zaintrygowany król, widząc, że nieobecna myślami żona, zamiast jeść z apetytem, tylko rozgrzebuje jajecznicę ze strusich jaj i zrzuca poza krawędź talerza towarzyszące potrawie drobiny czarnego kawioru.

– Ależ nie! – odpowiedziała słodkim głosem i okraśliła te dwa słowa miłym uśmiechem, choć w głębi duszy miała ochotę warknąć „Żryj, nie pierdol!”.

– Wyglądasz na zafrasowaną. – Król nie dał się jednak zbyć byle czym.

Zafrasowaną! – zzymała się w myślach królowa. Ależ ten stary piernik używa górnolotnych słów! Na głos zaś odparła:

– Wszystko w porządku, mój mężu. Chyba jesteś przewrażliwiony.

Na szczęście nie musiała kontynuować rozmowy, której temat zdecydowanie jej nie pasował. Do jadalni wkroczył bowiem szambelan i oznajmił, że właśnie przybyło poselstwo jednego z lenników z niezwykle ważną, niecierpiącą zwłoki sprawą. Król otarł usta podsuniętą przez służbę jedwabną chustą, wstał od stołu, ukłonił się małżonce w niemym podziękowaniu za wspólny posiłek, po czym wyszedł.

– Uff! – westchnęła głośno królowa z nieskrywaną ulgą.

Miała świadomość, że w ramach ewentualnej kontynuacji rozmowy z mężem bez konkretnych wyjaśnień by się nie obyło. A tłumaczyć się nie chciała. Znała go na tyle, żeby wiedzieć, że doszłoby do awantury, gdyby wyjawiała mu powód swojego podekscytowania. Król nie lubił bowiem kupowania w ciemno towarów sprowadzanych z odległych krajów. Twierdził, że to zbyt duże ryzyko, że można nabyć kota w worku, psa w pudełku lub szczura w szkatułce. Poza tym koszty transportu dóbr z dalekich stron okazywały się zazwyczaj horrendalnie wysokie i często przerastały wartość zakupionych rzeczy.

Królowa w sumie podzielała tę opinię, ale co miała zrobić, gdy pożądanymi ze wszystkich sił przedmiot nie był dostępny lokalnie? Starając się nie zwrócić uwagi męża, zamawiała deficytowe towary i liczyła, że oponent tej procedury przegapi moment przybycia kuriera i odbioru przesyłki. Jeśli wziąć pod uwagę multum królewskich obowiązków wydawało się to dość prawdopodobne i do tej pory udało się jej wejść w posiadanie kilku rzeczy, które mocno łechtały próżność i o których król małżonek nie miał bladego pojęcia. Dla niepoznaki zakupy na zagranicznych rynkach handlowych finansowała z własnego funduszu reprezentacyjnego. Wychodziła z założenia, że od czasu do czasu, raz na kwartał, może mieć dwie nowe suknie zamiast trzech. Tym samym środki na zakupy dóbr niedostępnych na miejscu nie obciążały bezpośrednio królewskiego skarbcza i dawały się łatwo ukryć. Jak się dopiero okazało, ekscytacja dokonanyimi zakupami już tak łatwa do ukrycia nie była. Na szczęście w sukurs przyszły: szambelan, poselstwo, problemy w lennych włościach... Królowa wymigała się od konkretów i bez świadków swej niecodziennej ekscytacji oczekiwała przybycia kuriera. Ten zaś miał przybyć tuż przed południem. I to aż z egzotycznych Chin!

Władczyni nigdy nie mogła się nadziwić regularności dotrzymania ustalonych wcześniej terminów dostaw. Odległość dzieląca królestwo od Chin była wprost niewyobrażalna. Po drodze działo się milion różnych nieprzewidzianych spraw, które mogły wpłynąć na wydłużenie czasu podróży zakupionych rzeczy. Ale nie! Już kilkakrotnie wcześniej dostawy docierały na czas i wszystko wskazywało na to, że także i tym razem transakcja odbędzie się bez opóźnień. Wczoraj wieczorem poufny goniec przekazał informację, że kurier z zamówionym towarem pojawi się we wskazanym miejscu dnia następnego krótko przed południem. Mały, skośnooki, komicznie żółty Chińczyk o trójczłonowym imieniu Ali Eks Pres nie zawodził. Królowa była pewna, że ponownie wystawi mu najlepsze z możliwych rekomendacje w ramach relacji zwrotnej.

Wprost nie mogła doczekać się chwili, gdy otworzy przesyłkę. Może już nie wczesny, ale nadal trwał jeszcze ranek, do południa zostało całkiem sporo czasu, a mimo to nie mogła zapanować nad emocjami. Choć miała w tej kwestii już spore doświadczenie, to zachowywała się jak dziewica tuż przed spotkaniem, podczas którego dziewicą zamierzała przestać być. Dziwiła się takiemu podnieceniu, ale wszystko kładła na karb zamówionej rzeczy. Już niedługo w jej posiadaniu miało znaleźć się lustro prawdy. Lustro, dzięki któremu dowie się, kto jest najpiękniejszą kobietą w królestwie. Skrycie liczyła, że przyrząd od razu rozwieje jej wszelkie wątpliwości i że to ona wskazana zostanie jako wzorzec nieskończonej urody. Właśnie dlatego nie mogła się doczekać werdyktu wydanego przez magiczne lustro.

Nawet jeśli okazałoby się, że ktoś ją urodą przewyższa, to przynajmniej otrzyma konkretne informacje kto. A potem podstępnie przemycona trucizna tu, skrytobójca tam, nieszczęśliwy wypadek jeszcze gdzie indziej i ostatecznie magiczne lustro nie będzie miało innego wyjścia – oznajmi, że najpiękniejsza w królestwie jest właśnie ona. Do tego celu królowa dążyła ze wszystkich sił – mimo

poniesionych z funduszu reprezentacyjnego kosztów, mimo długiego czasu oczekiwania na realizację specyficznego zamówienia z dalekich stron i mimo ewentualnej złości małżonka w razie odkrycia nietuzinkowego zakupu. A także mimo konieczności eliminacji kilku potencjalnych rywali w najbliższej przyszłości. Zamierzała być „naj” we wszystkich tego słowa pozytywnych rozszerzeniach z najpiękniejszą na pierwszym miejscu. Zdawała sobie sprawę, że to próżność, ale cóż... Spośród wszystkich „naj” mogła być też najpróżniejsza. Choć akurat ten przymiotnik miał negatywne znaczenie, nie miała nic przeciwko temu.

Zgodnie z zapowiedzią gońca kurier przybył tuż przed południem. Służba powiadomiła królową, a ta pospiesznie wyszła na jego spotkanie. Ali Eks Pres pokłonił się głęboko, jak to zazwyczaj robił, po czym oznajmił:

– Oto lustro prawdy Huawei 8.0 Turbo Lite. – Wyprostował się, wręczył starannie zapakowaną przesyłkę i dodał: – Intuicyjny *touchpad*, automatyczna aktualizacja oprogramowania, dwadzieścia cztery miesiące gwarancji i standardowo zainstalowane oprogramowanie antyklamliwe.

Pomna swej roli królowa dystygowanie skinęła głową.

– Aktywna jest też już licencja użytkowania, która zgodnie z wcześniejszymi specyfikacjami ustalona została na pięć lat. Od tej chwili, królowo, przez pięć lat lustro powie ci prawdę, samą prawdę i tylko prawdę. – Chińczyk od siebie chciał jeszcze dodać, że także gówno prawdę, ale w porę ugryzł się w język.

– Dziękuję! – odparła wniebowzięta władczyni.

Nie mogła doczekać się pierwszego użycia nowego gadżetu, dlatego dalsze formalności dostawy ograniczyła do minimum, akceptując odbiór towaru odciskiem kciuka małym ekranie kurierskiego tabletu. Odcisk okazał się zgodny z zarejestrowanym wcześniej wzorcem. Ali Eks Pres otrzymał po pięć gwiazdek we wszystkich kryteriach oceny jakości dostawy oraz z przyjaznym uśmiechem zainkasował hojny napiwek.

Kiedy tylko mały Chińczyk wyruszył w drogę powrotną, królowa pospiesznie udała się do swoich komnat. Zależało jej na jak najszybszym użyciu lustra prawdy. Odprawiła służbę, która nie zdążyła jeszcze posprzątać sypialni. Pościelone łóżko wystarczyło, na odkurzanie podłogi machnęła ręką i wygoniła wyraźnie speszoną służącą za drzwi.

– W dupie z kurzem! – uznała, stawiając lustro prawdy na centralnym miejscu toaletki. – Był, jest i będzie. Jeden dzień bez odkurzania da się przeżyć.

Usiadła wygodnie na fotelu przed toaletką i rozkoszując się chwilą, wcisnęła guzik z napisem „On”. Na dotąd nieskazatelnie gładkiej powierzchni ekranu zamigotały kolorowe paski, a następnie wyświetlił się komunikat: „Lustro prawdy Huawei 8.0 Turbo Lite gotowe do działania. Zeskanuj oblicze i zadaj pytanie”.

Czując jak serce łomocze jej w piersi, królowa postąpiła zgodnie z poleceniem – zeskanowała twarz i drżącym z emocji głosem zapytała:

– Lustreczko, lustreczko! Powiedz mi przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie?

Huawei 8.0 Turbo Lite na moment ściemniało, po czym na ekranie pojawił się nowy komunikat: „Error 110”.

– Co to znaczy? – zapytała zaniepokojona królowa.

Lustro prawdy znów na moment stało się czarne, a następnie wyświetliło trzecią z kolei wiadomość: „Jesteś piękna”. Zanim jednak królowa zdążyła się rozczulić jej treścią, pojawiło się jeszcze jedno słowo dopełniające wiadomość: „inaczej”.

Na co dzień stwarzająca pozory dystygowanej, poważnej arystokratki kobieta w tym właśnie momencie przyznała rację małżonkowi, który był przeciwnikiem kupowania rzeczy z nieznanych źródeł z dalekich stron.

– Pierdolona chińska tandeta! – wrzasnęła królowa, roztrzaskując lustro prawdy o ścianę.

Na podłogę posypały się szklane odłamki i liczne drobiny zniszczonych podzespołów elektronicznych. Na jednym z nich widniał jakiś napis. Królowa rozgoryczona wydanymi na byle co niemałymi pieniędzmi chciała o całej nieprzyjemnej sprawie jak najszybciej zapomnieć. Mimo to drobny napis przykuł jej uwagę i – mimo niechęci – podniosła z podłogi zniszczony fragment, aby go odczytać. Małe literki ułożyły się w trzy słowa: „Made in Russia”.

Królowa pokręciła z niedowierzaniem głową – produkt rosyjski sprzedawany na chińskiej platformie handlowej? A potem westchnęła w duchu, gdy przypominał się jej pewien dowcip, który dość trafnie podsumowuje ten ostatni zakup:

Co świeci i nie mieści się w dupie?

Rosyjski przyrząd do świecenia w dupie.

Alergia Jerzego

Jerzy z natury uważał się za stoika. Przyjmował życie na spokojnie – takim, jakie było, bez zbędnego w jego mniemaniu filozofowania i dzielenia włosa na czworo. Nie analizował, nie gdybał, nie doszukiwał się wątków przyczynowo-skutkowych. Skoro coś było, to było. Skoro coś się stało, to się stało. Z założenia nie wnikał w naturę czynników sprawczych i nie rozdrabniał się nad ich następstwami. Najczęstszy jego komentarz do różnych spraw i wydarzeń przybierał formę wzruszenia ramion, a jeśli już pokusił się o jakąś werbalizację uczuć, z reguły miało to postać westchnięcia: „Oj tam...!”.

Nie egzaltował się na turniejach rycerskich jako obserwator, z kolei jako uczestnik eliminował przeciwników w najprostszy z możliwych sposobów, nie napawał się jednak chwilą sławy i nie puszył się przed widzami. Nawet jeśli brał udział w owych turniejach, to robił to raczej z rycerskiego obowiązku niż dla dreszczyku emocji. Kilkukrotnie nawet wygrał takie zmagania, ale za każdym razem po finalnym triumfie reagował tak samo – wzruszał ramionami. Mimo uszu puszczał okrzyki zachwyconych jego wyczynami heroldów, równie stoicko ignorował piski i omdlenia rozanielonych niewiast. Był rycerzem, więc walczył w turniejach – wielkie mi co. Wygrywał, to wygrywał – oj tam...!

Ponieważ władał mieczem wyjątkowo sprawnie, ciągnęła się za nim związana z tym niemała sława. Nie korzystał jednak z jej aspektów – nie polował na darmowe wino albo obiad w tej czy innej oberży, nie mamił niewiast opowieściami o bohaterskich czynach w nadziei na czyny łóżkowe tego samego wieczoru. Nie dbał o rozgłos – zdobywał go mimochodem i przyjmował ze stoickim spokojem. Dziś może i cieszył się rozgłosem, jutro jednak ten przeminie – nie było się więc czym zbyt podniecać. Brnął w życie niespiesznie, dawał się nieść jego falom i nie emocjonował się tym, że raz znajdował się na ich szczytach, a innym razem w dole. Fale były takie, a nie inne – gdyby nie mały szczytów i dołów, nie byłoby fal.

Z taką właśnie postawą szedł przez życie z podniesionym czołem, ale bez pychy i zarozumiałstwa na ascetycznym obliczu. Trochę ascetyczny był także z natury. Nie obżerał się, nie folgował w pijaństwie ani w uciechach cielesnych. Do samoumartwiającego się w wierze mnicha miał jednak równie daleko, jak do hulaki, birbanta i babiarza. Jeżeli stał na stole wędzony udziec barani i ser, jadł go z takim samym wyrazem twarzy jak w przypadku, gdy przyszło mu spożywać suchy chleb i rzepę pieczoną w ogniskowym żarze. Wykwintne wina w ozdobnym cynowym kuflu? W porządku! Źródłana woda zaczerpnięta gołymi rękami ze strumyka? W takim samym porządku! Mając takie podejście do życia, uchodził w rycerskich kręgach za dziwaka, ale nie przejmował się taką opinią ani trochę. Jeśli był dziwakiem, to był. Po co tu filozofować?

Tego rodzaju postawa powodowała, że zazwyczaj nie wpadał w szereg pułapek zastawianych przez podstępny los i okazywał się niewrażliwy na zadawane przez niego zniecka ciosy. Kiedy toczące się koło fortuny sprawiało, że z grzbietu fali spadał w jej dół, nie wściekał się i nie buntował przeciwko

temu. Z typowym dla siebie spokojem czekał na moment, aż ponownie się wzniesie i przez jakiś czas popłyynie na szczycie.

Jeśli w przydrożnej gospodzie nie znajdował wolnych miejsc, nocował w stajni. Choć z racji rycerskiego stanu mógł wyrzucić z zajętych pokoi gości o niższym statusie w arystokratycznej hierarchii, nie wszczynał żadnych awantur. Słomiany siennik i powleczone lnianą poszewką poducha były mu równie miłe jak siano rozesłane na klepisku i siodło pod głową. Jeśli lokalny baron lub hrabia nie zaprosił go na turniej, to omijał jego włości bez żalu. Może i nie wygrał kolejnych zawodów, ale za to nie zmęczył się i nie spociał podczas machania mieczem, a później nie musiał ostrzyć stępionej i wyszczerbionej klingi. Każda sytuacja miała dwie strony – dobrą i złą. Jerzy najczęściej był zdania, że obie strony równoważą się i najlepiej znaleźć się gdzieś pomiędzy nimi, we w miarę bezpiecznym środku, w którym najmniej narażał się na targające życiem skrajności. Uważał stoicyzm za jedyny słuszny sposób na przetrwanie i starał się być z nim na co dzień za pan brat.

Czasami jednak nie dało się wytrzymać w takiej postawie. Sporadycznie, ale zdarzały się takie chwile, kiedy chodzący wzór stoickiego spokoju najwyczejniej w świecie wkurwiał się i wychodził z siebie. Tak się właśnie zdarzyło pewnego poranka na początku czerwca.

Ciepła, słoneczna aura nie zapowiadała serii nieszczęść. Wesołe trele ptaków współgrały z rytmicznym stukotem kopyt niespiesznie kłusującego konia. Rycerz kołysał się w siodle i z zadumą na twarzy kontemlował mijaną okolicę. Było w sam raz. Lekki wiatr przyjemnie wychładzał elementy zbroi, więc pomimo lata Jerzy nie czuł gorąca, nie pocił się pod pancerzem. W żołądku czuł sytość po niedawnym śniadaniu, w buklaku z cichym chłupotem przelewało się dobrej jakości wino, więc w najbliższej przyszłości nie musiał obawiać się, że zaschnie mu w gardle. Do celu podróży też nie miał daleko. Powinien dotrzeć do rodzinnych włości około południa. W domu zaś, jak to w domu – odpocznie, po obiedzie zabawi się z żoną, wieczorem zasiądzie na ganku i zapali fajkę z aromatycznym ziołem.

Seria nieszczęść zaczęła się niepozornie – najpierw Jerzy został obsrany przez przelatującego nad nim gołębia. Poczciwemu gruchu-chu towarzyszyło mokre plaśnięcie, a na prawy naramiennik rycerza pacnęła półpłynna, szarobiała masa.

– *Sacrebleu!* – zaklął Jerzy niespodziewanie wytrącony ze stoickiej równowagi ptasimi odchodami.

Zatrzymał wierzchowca. Zamierzał zsiąść z niego i z podróżnej sakwy wyjąć kawałek lnianego płótna. Musiał się oczyścić, nie mógł przecież wrócić do domu z nieprzyjemnym kleksem na ramieniu. Taki wygląd nie przystawał szanowanemu wszem wobec rycerzowi. Nie zdążył jednak wyjąć nogi ze strzemienia, gdy przelatujący nieopodal szerszeń użądlił konia w zad. Gniadosz kwiknął żałośnie z bólu i pognął przed siebie, ile sił w kopytach. Jerzy nie był w stanie opanować wierzchowca. Ten zaś cwałował na złamanie karku, naprzemiennie kwicząc i rżąc z bólu. Rycerz mocno trzymał wodze i ze wszystkich sił starał się nie wypaść z siodła. Mimo kryzysowej sytuacji do głosu doszła jego życiowa postawa. Użądlił szerszeń, to użądlił. Poboli, przestanie. Choć miał wielką ochotę, to ze względu na okoliczności nie pokusił się, aby wzruszyć ramionami.

Koń jednak nie podzielał jego poglądów i gnał dalej bez chwili wytchnienia. Jerzy zaprzestał prób okiełznania go w momencie, gdy zorientował się, że zwierzę biegnie we właściwym kierunku.

Cóż, najwyżej będę w domu wcześniej, niż planowałem – uznał w myślach mężczyzna i tym razem, choć nieznacznie, udało mu się jednak ramionami wzruszyć.

Stało się zgodnie z przewidywaniami – pokryty pianą, zgoniony do resztek sił wierzchowiec wpadł na dziedzińiec rodowych włości rycerza grubo przed południem. Przybywając do domu wcześniej, niż planował, Jerzy miał okazję przyłapać niewierną żonę na gorącym uczynku. Tętent i głośny kwik oszalałego konia wypłoszył gacha, który nieporadnie podciągając gacie, salwował się ucieczką przez okno sypialni i pognął przez ogród w stronę pobliskiego lasu. Rycerz zeskoczył z rumaka i z niedowierzaniem patrzył, jak między drzewami znika żywy dowód zdrady.

Zanim zdążył zareagować, dopadł go szef dworskiej służby, który gnąc się w pokłonach, zatrzwożonym głosem zapytał:

- Jaśnie wielmożny pan wie, że nie zabija się posłańca, choćby miał do przekazania złe wieści?
- Co? – Jerzy był w tym momencie idealnym przeciwieństwem elokwencji.

Dowodzący dworską świtą, nieświadomy tego, że jego chlebobawca odkrył właśnie, że jest właścicielem rogów, oznajmił głosem na granicy płaczu:

– Zacznę od tego, że, siostra wielmożnego pana przysłała pismo, w którym żąda spłaty należnej według niej części majątku rodowego.

Jerzy tym razem niczego nie powiedział. Bezcelność mieszkającej w barbarzyńskiej Saksonii siostry sprawiła, że zaniemówił i nawet powtórzenie krótkiego „Co?” było dla niego w tym momencie niewykonalne. Szef służby za dobrą monetę przyjął milczenie pracodawcy i kontynuował wyliczankę:

– Ojciec wielmożnego pana, Jerzy senior, oznajmił dziś rano, że ma... cytuję: „w dupie wszystkich i wszystko”. Koniec cytatu. Zabrał rodowe klejnoty i wyjechał, nie podając celu ani ram czasowych podróży.

Jerzy czuł, jak ze zdenerwowania zaczyna drgać mu powieka. Nadal jednak nie odzyskał władzy nad strunami głosowymi, więc nie skomentował kolejnej złej nowiny. Szef służby ponownie zinterpretował ten fakt na korzyść. Trudno mu się zresztą dziwić. W końcu jego pryncypał jawił się stoikiem z natury. Skoro przyjmował życie takim, jakie było, to najwyraźniej bez większych problemów przechodził do porządku dziennego nad niecodziennymi, co by nie mówić, nowinami. A skoro tak, to sługa mówił dalej:

– Sąsiad wielmożnego pana, rycerz Gwido de Savignac, przysłał wiadomość, że przy próbie uwolnienia pewnej białogłowy zamkniętej w wieży przez ojca okrutnika przypadkowo zadarł ze smokiem. Twierdzi, że ze wszystkich sił uciekał przed nim gdzie pieprz rośnie, ale mimo tego skrzydlata bestia go dopadła. W zamian za darowanie życia przepisał na smoka swój majątek, tym samym mamy nowego sąsiada.

Jerzy poczuł, jak chrupnęły mu kości w stawach gwałtownie zaciśniętych w pięści rąk. Gwido de Savignac był mu winny niemało pieniędzy, a właśnie okazało się, że perspektywa spłaty długu zredukowana została praktycznie do zera.

Kumulacja nieszczęść miała ciąg dalszy.

– Podczas nieobecności wielmożnego pana chluba i duma rodowej stajni, klacz Francesca, zaczęła się żrebić. Żrebieńca nie przeżyła ani ona, ani żrebię.

Jerzy poczuł ból zębów. Zazgrzytały trące o siebie powierzchnie. Zaciśnięta ze złości żuchwa uniemożliwiła danie jakiegokolwiek werbalnej reakcji na przytaczane nowiny. I choć rycerz był już daleki od typowego dla siebie stoicyzmu, szef dworskiej służby niczego nie zauważył.

– W związku z prawdopodobnym wybuchem wojny z królestwem Niemiec wielmożny pan otrzymał wezwanie do osobistego i niezwłocznego stawienia się w stołecznych koszarach w pełnym ekwipunku bojowym z zapasowym koniem.

Tym razem dla odmiany Jerzy poczuł, jak jego zuchwa opada. Wojna? Koszary? Stolica? – przez głowę przemknęły mu krótkie pytania. Ale jak to? I niby dlaczego ja?

Przekonany o stoicyzmie chlebobdawcy i tym samym o braku konsekwencji związanych z przekazywaniem złych wiadomości szef dworskiej służby dołożył do pieca:

– Drewniane obramowanie studni na placu za dworem, zmurszałe przez lata, pękło i się zapadło. Z powodu braku bariery najpierw nasza tam krowa, potem utopił się pies. Krystaliczna uprzednio woda obecnie na miano krystalicznej z pewnością nie zasługuje.

Jerzy zagotował się w środku. Każda z przekazanych właśnie informacji była powodem do złości czy nawet wściekłości. Jednak ich kumulacja w krótkim okresie nie mogła się skończyć jedynie na rzuceniu kilku przekleństw czy tupnięciu nogą. Słyszony ze stoicyzmu ryker nie wytrzymał tego, co przygotował dla niego okrutny los: obranie przez ptaka, zdrada żony, roszczenia finansowe siostry, nieodpowiedzialne zachowanie ojca, brak możliwości odzyskania długu od sąsiada, strata ulubionej klaczy, wezwanie do wojska i zanieczyszczenie studni. Tego Jerzy nie zdzierzył.

Z dzikim wrzaskiem i malującą się na obliczu rządzą mordę dobył miecza. Szef dworskiej służby umknął w podskokach, nie chcąc się nawinąć pod lśniące w przedpołudniowym słońcu ostrze. Władający dwuręczną bronią ryker zamierzał kogoś zabić. Albo najlepiej kilka osób, bo wypełniająca go frustracja aż dymiła mu uszami. Po cechującym go na co dzień stoicyzmie nie było ani śladu. Nie miał już szans dogonić kochanka żony. Ten zaś, sądząc po tempie ucieczki, przekraczał właśnie granicę sąsiedniego królestwa. Na miejscu znajdowała się niewierna małżonka. To ona miała zostać pierwszą ofiarą wkurzonego do imentu Jerzego. Tym bardziej, że wyszła właśnie na próg dworu i jak gdyby nigdy nic zaszczebiotała:

– Jureczku, słońce ty moje! Ale niespodzianka! Co tak wcześniej?

Ryker jeszcze mocniej zacisnął dłonie na rękojeści miecza i uniósł go nad głowę celem zadania morderczego ciosu.

Traf chciał, że właśnie w tym momencie z wizytą przybył nowy sąsiad. Z głośnym łopotem skrzydeł sfrunął z nieba smok. Chciał się przywitać, przedstawić i nawiązać przyjacielskie relacje z dworem zza miedzy. Pechowo nadleciał w niewłaściwym momencie.

Jerzy usłyszał łopot, a słońce zakrył cień lądującej bestii. Nie zamierzał dać się odciągnąć czymkolwiek od zamiaru zabicia małżonki, a skoro już miał uniesiony w górę miecz, to nim chlasnął. Odrąbany łeb smoka poturlał się po dziedzińcu wprost pod nogi oniemiałej żony Jerzego.

– Jureczku! – Kobieta była w szoku. – Zajebałeś dla mnie smoka? – spytała, patrząc, jak bezwładnie wali się na ziemię pozbawione łba cielsko skrzydlatej bestii.

– Tak! – odparł ryker. – Bez zezwolenia naruszył moją przestrzeń powietrzną, więc musiałem zareagować.

– Och! – Żona Jerzego teatralnym gestem złapała się za pierś. – Mój ty rykerzu! – zapiąła rozanielona. – Mój ty szlachetny pogromco straszliwych bestii! Jam jest twoja wierna aż po grób niewiasta!

Jerzy kichnął.

– A co to? – zapytała małżonka.

– Nic – odparł i chlasnął mieczem ponownie, skracając ją o głowę. – Mam alergię na pierdolenie głupot.

Nad rzeką

Nad rzeką, opodal krzaczka mieszkała pewna kaczką. Lubiła swe dobrze utrzymane w krzewach gniazdo, świetnie się w nim czuła i zazwyczaj nie miewała ochoty na piesze wycieczki dokądkolwiek. Nie chodziła więc do fryzjera. Miała nietolerancję laktozy, dlatego nie kupowała sera ani nie spożywała mleka, nawet pięć deka. Prała samodzielnie, więc nie odwiedzała praczki. Nikomu nie wysyłała listów, tym samym nie potrzebowała poczty i pocztowych znaczków. Zdrowa była jak rydz, więc nie musiała chodzić po cokolwiek do apteki.

Czasami zastanawiała się, czy przez swoje nietuzinkowe bądź co bądź zachowanie nie zasługuje na miano dziwaczki. Potem jednak wzruszała skrzydłami – nawet jeśli, to co z tego? Jestem, jaki jestem – swego czasu mawiał pewien wysoki, dwunogi ssak z czerwonymi włosami. To było ulubione motto kaczką. Kiedy nachodziło ją zwątpienie co do słuszności zajętej postawy, powtarzała je tak długo, aż zwątpienie ją opuściło.

Koleżanka sójka, która od zawsze wybierała się za morze i mimo szczerych chęci nigdy się nie wybrała, powiedziała jej kiedyś, że je makaron. Kaczką uznała to za działanie pozbawione sensu. Jeśli ona chciała oczyścić jelita, zjadała starą tasiemkę. Efekty po pierwsze były szybkie. Po drugie zaś, zamiast ogarnąć sprawę punktowo, mogła ją załatwić w linii podczas spaceru. Różnych miłych doznań doświadczyła w życiu. Musiała sama przed sobą przyznać, że defekacja ciągiem na odcinku kilku metrów była niczego sobie.

Kiedyś kopała się z gęsią. Stara franca nie chciała ustąpić należnego kaczką miejsca w kolejce do reumatologa, więc do rozstrzygnięcia sporu użyte zostały metody siłowe. Wzorując się na swoim idolu z filmów akcji klasy B, kaczką załatwiła sprawę soczystym kopnięciem z półobrotu. Chuck Norris byłby z niej dumny.

Wiele rzeczy można było powiedzieć o tej przedstawicielce rządu blaszkodziobych. Na przykład to, że kochała jabłka – potrafiła zjeść nieprzebrane ich ilości. Lubiła nawpierniczać się owoców jabłoni do tego stopnia, że nie mogła już niczego przełknąć. Ostatni, nie do końca pogryziony kawałek, stał jej w gardle, gdyż miał zablokowaną drogę przez tkwiących w przełyku poprzedników. Czuła się wtedy jak kaczką faszerowana jabłkami.

Miała też inną słabość – nie za często, ale przynajmniej raz na pół roku, folgowała sobie i przyrządzała wyjątkową kąpiel. Napuszczała wówczas dużo ciepłej wody do wanny, po czym wrzucała do niej różne rzeczy, które później w trakcie ablucji z przyjemnością zjadała. Tym samym raz stawała się kaczką w orzechach, innym razem kaczką w pomarańczach. Zdawała sobie sprawę, że to raczej nie było normalne i tym bardziej skłaniała ją do przyjęcia miana dziwaczki.

Cóż... – myśląc, wzruszała skrzydłami w od lat wyrobionym nawyku. Jestem, jaka jestem.

Abym dopełnić charakterystyki kaczką, należy dodać, że miała kiepskie relacje z sąsiadem. Niedaleko krzaków, w których uwiła swoje gniazdo, biegła miedza. Za nią zaś mieszkał zajac. Długouchy debil

wkurwiał ją jak nikt inny w całym dotychczasowym życiu. Jeśli wierzyć jego opowieściom, przykicał nad Wisłę z Ukrainy, z samego Czarnobyła. Patrząc na kolor jego futra, wydawało się to nawet dość prawdopodobne. Zamiast bowiem, jak każdy szanujący się zając, mienić się w odcieniach szarości, sąsiad był bordowy. Zupełnie jakby kąpał się cały w buraczkach. Ten wyjątkowo intensywny kolor działał na kaczkę jak płachta na byka. Ze wszystkich sił starała się unikać sąsiada mutanta. Wolała nie spotykać na swej drodze buraczkowego długoucha, który wpierniczał marchewki jak ona słone paluszki – chrupiący pomarańczowe przekąski zając Jewgienij miał podczas tej czynności błogą minę i wyglądał wręcz perwersyjnie.

Tego lipcowego ranka udało się jej przemknąć obok nielubianego sąsiada w iście szpiegowski sposób. Niczym tajny agent James Głęb chyłkiem, mocno pochylona i cichutko jak myszka Miki pod miotłą przebiegła wzdłuż miedzy w stronę Wisły. Na grzbiet kaczkki nie spadło rubaszne „Zdrastujcie, żenszczina” i uznała ten fakt za dobry prognostyk.

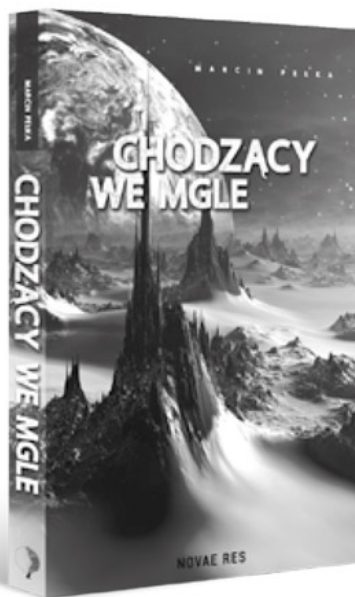
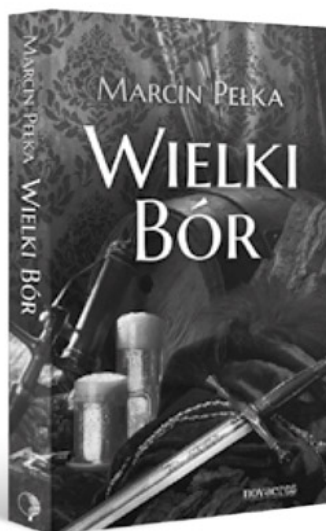
Mimo wczesnej pory narastał upał, zamierzała więc z rozkoszą schłodzić się w leniwie płynącej rzece. Znała całkiem miłe, zaciszne miejsce za jednym z progów regulujących nurt Wisły. Pełno tam było małych, łaskoczących wirów, z głównego nurtu nie napływały śmieci, miejsce wprost idealnie nadawało się na chwilę relaksu. Chciała pokołysać się na wirującej tu i ówdzie toni, trochę ponurkować, może nawet zapolować na płochliwe płotki. Plany może do górnołotnych nie należały, ale z drugiej strony nie musiały przecież takie być. Kaczka miała wolne – wysiedziała kolejny tuzin jaj, młode usamodzielniały się ostatecznie kilka dni temu i ruszyły w świat, rodzicielskie obowiązki zostały tym samym zredukowane do zera do następnego sezonu. Chciała odpocząć po wyczerpującym fizycznie i psychicznie macierzyństwie, podładować trochę baterie. Poranna kąpiel w małej zatoczce na Wiśle miała być jednym z elementów swojej bioodnowy.

Jakieś sto kroków od brzegu wyczuła, że coś jest nie tak. W jej nozdrza uderzył smród. Mimo niepokoju szła dalej, a ów odór nasilał się z każdym kolejnym człapnięciem. Choć broniła się przed tym z całych sił, ostatecznie musiała zmierzyć się z niechcianą prawdą – nieprzyjemna woń nasilała się tym bardziej, im bliżej była rzeki. Wisła cuchnęła niemilosiernie. Chwilę później wyciągnięte dopiero co wnioski potwierdziły się naocznie – do niedawna miła dla oka i kąpeli rzeka zmieniła się w brunatny ściek. Wisłą płynęło gównem.

Kaczka wyjęła spod skrzydła smartfona i połączyła się z siecią. Już pierwszy kliknięty link popularnego portalu informacyjnego wyjaśnił jej przyczynę zastanej katastrofy: awaria oczyszczalni ścieków Czajka.

– Kurwa! – kwaknęła zdęgowana. Zrobiła w tył zwrot i gdy wracała już w stronę swojego krzaka, dodała: – Nie ma chuja! Więcej na tych debili nie będę głośować.

Nakładem wydawnictwa Novae Res ukazały się również:





Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Mikstura

Pułapka

Demitologizacja

Ostatnie zlecenie

Pomyłka

Sposób

W drodze do pracy

Lato w dolinie mumii Inków

Wigilia misiów

Ciężki poranek

Kronika

Jeź

Liść

Pułapka 2

Poranek na bagnach

Seans

Jajko

Podróż

Różdżka

Nfi

Lustreczko

Alergia Jerzego

Nad rzeka

Karta redakcyjna

Pogięte bajki III: Ostatnie zlecenie

ISBN: 978-83-8313-055-2

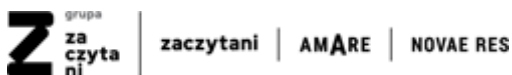
© Marcin Pełka i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta: Kinga Dolczewska

Okładka: Izabela Surdykowska-Jurek



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: kontakt@wydawnictwo-amare.pl

<http://wydawnictwo-amare.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek